

STANISŁAW ZWOLAK

KRONIKA
TRZECH FLISÓW

„Kronika Trzech Flisów” to barwna opowieść o tęsknocie za przygodą, zmaganiu się człowieka z potęgą natury i własną słabością.

Wyraża pragnienie zachowania w pamięci tradycji ojców, a także poczucie dumy z miejsca, z którego wyrastają flisackie korzenie.



STANISŁAW ZWOLAK

Urodzony 4 maja 1954 roku w Ulanowie, flisak, retman, mieszkaniec Ulanowa. Chrzest flisacki przeszedł w 1993 roku na Wiśle w okolicach Grudziądza. Patent retmański otrzymał w 1997 roku. Brał udział w 17 flisach na Sanie, Wiśle i Odrze. Za swą działalność otrzymał m.in. Medal Ulanowski Flis Tysiąclecia Ulanów – Gdańsk 1997, Medal Tysiąclecia Gdańska, certyfikaty i podziękowania od organizatorów Flisów Odrzańskich. Autor wspomnień z trzech flisów: Flisu Szlakiem Praojców

na trasie Ulanów – Gdańsk 1993, Flisu Szlakami Piastów na trasie Bielinek – Szczecin 1998, oraz Flisu Papieskiego na trasie Jarosław – Ulanów – Sandomierz – Zawichost 1999, z których składa się niniejsza publikacja.



Pomysłodawca: **Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych „Przystań” w Ulanowie**

Transkrypcja i korekta tekstu, projekt graficzny: **Ewa Siembida**

STANISŁAW ZWOLAK



**KRONIKA REJSU TRATWĄ NA TRASIE
ULANÓW – GDAŃSK**



CZERWIEC - LIPIEC 1993 ROK

Pomysł zorganizowania spływu tratwą z Ulanowa do Gdańska tkwił w mieszkańcach miasta od wielu lat. Związany był on z wielowiekową tradycją spławu drewna. Istniało jednak wiele przyczyn i trudności, które powodowały, że pomysł ten nie został zrealizowany.

W grudniu 1992 roku, podczas swego dorocznego spotkania Bractwo Miłośników Ziemi Ulanowskiej p.w. św. Barbary podjęło uchwałę, na mocy której zobowiązało się zorganizować i przeprowadzić spływ tratwą z Ulanowa do Gdańska. Grupę inicjatywną do wykonania tego zadania i stanowiącą zarazem załogę tratwy utworzyli wówczas: Zdzisław Nikolas, Wincenty Pityński, Mieczysław Pityński, Andrzej Bąk, Andrzej Kopyto, Mieczysław Łabęcki, ks. Józef Lizak, Ryszard Bryła, Stanisław Zwolak i Tadeusz Kopiec. Każdy z nich wpłacił na ręce skarbnika Mieczysława Pityńskiego 2 mln złotych, za które zakupiono 60 sztuk kłoców sosnowych pochodzących z wyrębu lasów miejskich.

W lutym 1993 roku rozpoczynają się prace związane bezpośrednio z budową tratwy. Zrywkę pni z wyrębu przeprowadza swoim ciągnikiem Mieczysław Łabęcki, przy wydatnym udziale Zdzisława Nikolasa, Mieczysława Pityńskiego i Ryszarda Bryły. Prace te filmowane są kamerą video przez Marka Okońskiego. Wynajęte samochody – dłużyce - przewożą kłocce na miejsce budowy tratwy, tzw. bindugę usytuowaną obok mostu na Sanie. Załoga decyduje się na okorowanie pni, co ma zwiększyć ich wyporność. Równocześnie nabierają tempa prace formalno – prawne. Trzykrotnie do Krakowa wyjeżdża Zdzisław Nikolas. Towarzyszą mu Andrzej Bąk i Mieczysław Łabęcki. Starają się oni uzyskać w tamtejszym Inspektoracie Gospodarki Wodnej i Żeglugi Śródlądowej stosowne zezwolenie na przeprowadzenie spływu. Zezwolenie uzyskano. Prace nabierają tempa, albowiem data wypłynięcia tratwy, którą ustalono na 27 czerwca 1993 roku staje się coraz bliższa. Kompletuje się śryki, szorce, walce, kanaty i inne niezbędne wyposażenie tratwy. Odbywa się to pod kierownictwem Wincentego Pityńskiego, który jako jedyny z załogi tratwy zawodowo spławiał drewno Sanem. On też wyciosuje dwie drygawki, tj. długie, dziesięciometrowe wiosła służące do sterowania tratwy. Na błoni, obok domu Mieczysława Łabęckiego budujemy dwie budy flisackie. Trzecią, tzw. retmankę Wincenty Pityński robi na swoim placu. We wszystkie te prace aktywnie włącza się Franciszek Kopyto, zastępując swojego brata Andrzeja. Ustalamy termin zbijanki, tj. budowy tratwy na 22 czerwca 1993 roku.

Dzień jest ciepły, słoneczny. Około godz. 9⁰⁰ pierwszy kloc zostaje wrzucony z brzegu do wody. Cieszymy się jak dzieci. Oto powstaje tratwa – statek wodny naszych marzeń, który nurtami dwóch rzek poniesie nas do Gdańska. To, co przez tyle lat było niemożliwe, staje się realne. Zbijankę prowadzą głównie: Wincenty Pityński, Franciszek

Kopyto, Mieczysław Łabęcki, Ryszard Bryła i Stanisław Zwolak. Pozostali członkowie załogi pomagają w miarę swoich możliwości. Prace przy zbijance wywołują wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców miasta i okolic. Licznie przybywają oni na bindugę, obserwując, jak powstaje tratwa, o której tyle się mówi, a której wielu nigdy nie widziało. Oprócz biernych obserwatorów jest też wielu naszych kolegów i znajomych, którzy ofiarnie z nami pracują. Nie sposób wymienić wszystkich, ale należy podkreślić udział w budowie tratwy takich mieszkańców miasta jak: Józef Czajka, Władysław Kopyto, Kazimierz Witkiewicz, Andrzej Janik, Zbigniew Pityński, Jerzy Janik, Marian Kopyto i wielu innych. Na bindugę przybywają także dwaj najstarsi retmani ulanowscy, tj. Władysław Bryła i Tadeusz Mozdrzech. Fachowy nadzór nad zbijanką prowadzą Wincenty Pityński i Władysław Pityński. W ciągu jednego dnia zbijamy cztery oddzielne elementy, tzw. tafle, które połączone kanatami i oprzyrządowane - utworzą właściwą tratwę. Następne dni wykorzystujemy na budowę skrzyń, palenisk, spinanie tafli i mocowanie drygawek. Franciszek Kopyto i Wincenty Pityński na dwóch spiętych ze sobą krypach przywożą budy, które mocujemy na tratwie. Tratwę przy pomocy lin holujemy w górę Sanu i śrykujemy obok oczyszczalni ścieków, albowiem tak sobie życzyła TVP, która chciała nas filmować z mostu. W sobotę, w przeddzień wypłynięcia instalujemy trzecią budę – retmankę i reklamy, które dostarczyli nam sponsorzy spływu, tj. Aqua – Term Nowex, Huta Stalowa Wola – Zakład Hutniczy, Ośrodek Badawczo Rozwojowy Maszyn Ziarnych i Transportowych, Tygodnik Nadwiślański.

Nasza tratwa składa się z czterech tafli połączonych ze sobą stalowymi linkami, tzw. kanatami. Mierzy ona około 75 metrów długości. Jej szerokość wynosi od 5 do 7 metrów. Każda z tafli ma swoją nazwę. Pierwsza to głowa, następnie przedgłowie, przedcole i col. Na przedgłowie stoi retmanka – miejsce snu i odpoczynku retmana. Jest ona ustawiana drzwiami w dół rzeki, aby retman w każdej chwili mógł kontrolować płynięcie tratwy. Pozostałe dwie budy stoją na przedcolu. Budy są konstrukcji drewnianej, pokryte słomą dla ochrony przed zimnem i deszczem. Wykonane są one w formie szałasów i wyposażone w drzwi wykonane z desek. Jedynie retmanka ma kształt domku o prostych ścianach i dwuspadowym dachu. Od środka jest ona pokryta wierzbicą, zielem, które zrywaliśmy nad Sanem, a które skutecznie odstrasza komary. Z wierzchu pokryta jest oczywiście słomą. Na colu znajduje się palenisko, na którym będziemy przygotowywać posiłki. Czworobok z desek wyłożony jest gliną, na którą wysypujemy warstwę piasku. Jako urządzenie sterujące – hamujące na colu znajdują się dwie skrzynie ze śrykami i jedna drygawka. Głowa tratwy wyposażona jest w jedną skrzynię i jedną drygawkę.

W sobotę wieczorem załoga spotyka się w Miejsko – Gminnym Ośrodku Kultury, gdzie jednogłośnie wybiera Wincentego Pityńskiego na retmana, czyli dowódcę tratwy i Andrzeja Bąka na rzecznika prasowego. Pobieramy także okolicznościowe stroje, które Andrzej Kopyto przywiózł z Domu Kultury w Stalowej Woli.

27.06.1993 (niedziela) – 1 dzień spływu

Zgodnie z wcześniejszą umową zbieramy się na bindudze o godz. 7⁰⁰ gdzie przynosimy swoje osobiste wyposażenie i prowiant. Następnie ubrani w okolicznościowe stroje – sukmany - spotykamy się o 9³⁰ przed kościołem parafialnym. Po wykonaniu serii zdjęć na użytek TVP, gazet i prywatny, zostajemy powitani na placu kościelnym przez księdza biskupa Edwarda Białogłowskiego, księdza dziekana Józefa Lizaka – proboszcza ulanowskiego i towarzyszących im księży. Za wyjście po nas i uroczyste powitanie dziękuje w naszym imieniu nasz rzecznik, Burmistrz Miasta i Gminy Ulanów - Andrzej Bąk. W towarzystwie księży i licznie zgromadzonych mieszkańców wchodzimy do kościoła. Rozpoczyna się uroczysta suma celebrowana przez księdza biskupa. Kościół wypełniony jest po brzegi, jak w czasie największych uroczystości. Śpiewa chór parafialny. W czasie mszy Pismo Święte czytają Stanisław Zwolak i Andrzej Kopyto. W okolicznościowej homilii ks. biskup nawiązuje do flisackich tradycji miasta i patronki flisaków, św. Barbary. W czasie mszy stoimy wszyscy pośrodku kościoła, przed głównym ołtarzem. Po zakończeniu mszy św. udajemy się przed ołtarz św. Barbary, skąd po krótkiej modlitwie wychodzimy przed kościół. Tu dołączamy do uroczystej procesji, która doprowadza nas do tratwy. Przez cały czas towarzyszy nam olbrzymie zainteresowanie licznie zgromadzonych mieszkańców miasta i okolic. Są ekipy TVP i TV Rzeszów. Są dziennikarze i fotoreporterzy gazet regionalnych. Mnóstwo prywatnych kamer video i aparatów fotograficznych. Przychodzimy do tratwy. Cały most i plac przy moście wypełniony jest ludźmi. Podchodzi do nas najstarszy z żyjących retmanów ulanowskich – Władysław Bryła. W krótkich, urywanych słowach dzieli się wrażeniami z lat swojej młodości spędzonej na tratwach. W oczach staruszka widzę kręcące się łzy. Życzy nam, abyśmy dopłynęli do Gdańska, miasta, do którego tak licznie kiedyś pływali ulanowiaci, rozślawiając nasze miasto. Cechmistrz Bractwa Miłośników Ziemi Ulanowskiej - Zdzisław Nikolas wygłasza okolicznościowy apel, w którym wymienia zasłużone flisackie rody ulanowskie. Komendant ulanowskiej straży pożarnej Jan Nikolas oddaje trzy wystrzały z "beczki" na cześć załogi. Ks. biskup udziela

nam błogosławieństwa i po krótkim pożegnaniu z najbliższymi odpływamy krypami na tratwę, która od tej chwili staje się naszym domem i miejscem pobytu na wiele dni i nocy. Jest godzina 12⁰⁰. Pada komenda "wybyj". Oba śryki postawione na colu zostają wybite. Tratwa rusza, niesiona prądem Sanu. Ludzi na brzegach i moście ogarnia entuzjazm. Wszak jest to wydarzenie, jakiego Ulanów nie widział od 1939 roku. Ludzie machają do nas kwiatami i rękami. Wielu krzyczy, przekazując nam ostatnie rady i uwagi.

Już początek naszej pływanki przysparza nam wiele pracy. Porywisty wiatr uparcie spycha tratwę do brzegu. Załoga nie jest jeszcze wprawiona do flisaczej pracy. Na tratwie oprócz stałej załogi jest wiele osób, które chciałyby choć kawałeczek popłynąć. Jest też ksiądz biskup z towarzyszącymi mu księżmi. Zmagając się z wiatrem, odpychając tratwę od brzegu - płyniemy. Na łodzi wciąż wielu ludzi, którzy idąc wzdłuż brzegu towarzyszą nam i naszej tratwie. Przypływamy do ujścia Tanwi. Z cypla słyszymy ostatnie pożegnania. Po raz ostatni w tym dniu jesteśmy filmowani przez telewizję.

Obok Smarkatej Góry tratwa zawiesza się na tkwiącym w wodzie dębie. Po krótkich zmaganiach uwalniamy się z tej pułapki i płyniemy dalej. Na obydwu brzegach Sanu stoi dużo ludzi. Dzieci rzucają nam bukiety kwiatów. Tak żegnają nas mieszkańcy okolicznych wiosek: Wólki Tanewskiej, Hawryłów, Przędzela. Tratwę opuszcza grupa ludzi, która towarzyszyła nam w początkowej fazie spływu. Odpływają oni krypami do Ulanowa. Przed nami most kolejowy w Zarzeczcu. Przepływamy pod nim i naszym oczom ukazuje się most drogowy z zebraną na nim liczną grupą obserwatorów. I znów otrzymujemy pozdrowienia i wiązanki kwiatów. Zebrane na lewym brzegu Sanu wozy bojowe straży pożarnej włączają sygnały dźwiękowe i świetlne. Płyniemy wolno dalej. Szybkość naszej tratwy w tej fazie spływu wynosi ok. 3 km/h. Dopływamy do Niska, mijamy most kolejowy. Ze Stalowej Woli przypływają do nas cztery łodzie motorowe. Po gorących powitaniach i wymianie pozdrowień motorowiaci informują nas o stanie rzeki. Motorówki będą nam towarzyszyć do momentu postoju. Wiatr trochę się zmniejszył, ale w dalszym ciągu jest uciążliwy. Przed mostem w Stalowej Woli, obserwowani przez liczną grupę mieszkańców miasta, wykonujemy kilka klasycznych obalerek, dając pokaz sztuki flisaczej. Krypą, którą zabraliśmy z Ulanowa udajemy się do brzegu, gdzie oczekują nas nasi bliscy i znajomi. Po wymianie wrażeń i ostatecznym pożegnaniu się, idziemy do restauracji "Europejska", gdzie płynący z nami z Ulanowa redaktor naczelny "Sztafety" Dionizy Garbacz, podejmuje nas flakami i piwem. Po posiłku wracamy na tratwę i około godziny 21³⁰ idziemy spać.

28.06.1993 (poniedziałek) – 2 dzień spływu

Wstajemy o godz. 5³⁰. Siąpi uciążliwa mżawka. Ubieramy kurtki przeciwdeszczowe i wybijamy śryki. Cała załoga gromadzi się na colu. Stojąc między skrzyniami i trzymając w dłoniach czapki i kapelusze śpiewamy "Kiedy ranne wstają zorze". Odśpiewanie tego hymnu stanie się naszą tradycją i będzie się powtarzało codziennie. Ponieważ w Stalowej Woli opuściła tratwę następna grupa ludzi, podaję skład załogi, która z niewielkimi zmianami - o których później napiszę - dopłynęła do Gdańska.

1. Wincenty Pityński
2. Mieczysław Pityński
3. Zdzisław Nikolas
4. Franciszek Kopyto
5. Mieczysław Łabęcki
6. Ryszard Bryła
7. Stanisław Zwolak
8. Robert Sadowski – dziennikarz "Nowin Rzeszowskich"
9. Jerzy Kozioł – dziennikarz "Tygodnika Nadwiślańskiego"

Deszcz ustaje, zrywa się wiatr, na szczęście niezbyt silny. Płynięcie Sanem polega na ciągłym lawirowaniu pomiędzy mieliznami. W praktyce wygląda to tak, że płyniemy obok jednego brzegu ok. 100 - 150 metrów, następnie przepływamy na drugą stronę, znów 100 – 150 metrów i znów do drugiego brzegu. Rozpalamy ognisko na palenisku. Franek Kopyto, który najlepiej z nas zna się na tych sprawach, przygotowuje śniadanie, na które składa się duszone mięso i herbata. Chleb mamy jeszcze ulanowski, подарowany nam przez Mieczysława Cudziłę. Załoga powoli wprawia się do pływania, poznaje tajniki flisackiego fachu, słuchając rad i uwag naszego retmana – Witka Pityńskiego. Przed nami most w Radomyślu. Kierowca ciężarówki, który zatrzymał się na moście, żeby nas zobaczyć, zrzuca do rzeki kilka desek, które posłużyły nam do zrobienia stołu na tratwie. Odczytujemy tablice kilometrażowe, które informują nas, że do ujścia Sanu już niedaleko. Swoisty chrzest wodny przechodzi dziennikarz „Nowin Rzeszowskich” - Robert Sadowski, który odpychając tratwę bosakiem, wpada do wody. Na szczęście kończy się to tylko na całkowitym zamoczeniu. Zjadamy obiad, tj. zupę jarzynową z wkładką mięsną, którą przygotował oczywiście Franek Kopyto. W miejscowości Czekań przepływamy obok pierwszego na naszej trasie promu. Prom jest tu zawieszony na linie, która jest tak wysoko,

że nie wyrządza naszej tratwie żadnej szkody. Mijamy tablicę kilometrową z cyfrą "1". Stąd jeden kilometr do ujścia Sanu. Każdy z nas patrzy w dół rzeki, wyglądając Wisły. I oto o godzinie 15⁴⁵ wpływamy do Wisły - znacznie szerszej od Sanu. Woda królowej polskich rzek jest ciemniejsza i sprawia wrażenie bardziej brudnej. San, którego nurt jest szybszy, wcina się w Wisłę głębokim klinem, wynosząc naszą trawę na środek. Płynięcie Wisłą jest łatwiejsze. Nie musimy przepływać od brzegu do brzegu. Załoga zażywa więc odpoczynku, albowiem nie trzeba pracować drygawkami. Na horyzoncie Zawichost położony na lewym brzegu, na wysokiej skarpie, z dominującymi sylwetkami kościoła i klasztoru. Po dopłynięciu do tego miasta mamy poważne kłopoty z zatrzymaniem się. Śryki, które znajdują się w skrzyniach nie sięgają dna rzeki, wobec tego, korzystając tylko z drygawek, wpływamy do głębokiej zatoki pomiędzy główkami i cumujemy tratwę na noc. Nieco wyżej stoi drugi na naszej trasie prom. Jest godz. 19⁰⁰. Cała załoga wychodzi do miasta, gdzie dokonuje niezbędnych zakupów. Po powrocie na tratwę jemy kolację i idziemy spać.

W 1974 roku do Zawichostu dopłynęła tratwa, której załogę stanowili wówczas: Franciszek Nachajski, Sylwester Nachajski i Władysław Bryła. Była to tratwa wykonana na potrzeby telewizji. Film o ulanowskich flisakach kręciła wówczas pani reżyser Janina Wierzbicka. Stąd jednak ulanowscy retmani do Gdańska pojechali samochodem. Tam obejrzeni miejsce, w którym przed wojną tak często bywali. My mamy zamiar dopłynąć tam tratwą.

29.06.1993 (wtorek) – 3 dzień spływu

Z Zawichostu odbijamy o godz. 5⁰⁰. Pogoda jest nieszczególna. Jest dosyć chłodno, mglisto, wieje lekki, boczny wiatr. Płyniemy bez specjalnych problemów. Odśpiewujemy pieśń "Kiedy ranne..." i każdy z nas szuka sobie zajęcia na tratwie. Ja stoję przy drygawce na colu, Franek Kopyto, wykorzystując namoczony wczoraj groch, przygotowuje grochówkę w rodzaju fasolki po bretońsku. Witek Pityński jest jak zwykle na głowie. Zdzich Nikolas z Mieczysławem Pityńskim uszczelniają krypę, którą dzień wcześniej wciągnęliśmy na tratwę. Pozostali uczestnicy spływu krzątają się po tratwie, wykonując drobne prace porządkowe. Około godz. 6⁰⁰ zaczyna padać deszcz. Zakładamy kurtki przeciwdeszczowe. Wzmaga się wiatr, który utrudnia nam żeglugę. Brzegi Wisły są monotonne, porośnięte wikliną. Zwracają uwagę potężne umocnienia wodne, które świadczą o tym, że Wisła nie zawsze jest tak łagodna, ale potrafi być kapryśna i groźna.

Z lewej strony zbliżamy się do potężnej skarpy z licznie osadzonymi w niej skałami wapiennymi. U jej podnóża kilka schowanych w drzewach domków. Pojawia się skarpa na prawym brzegu. Wisła dokonuje tutaj przełomu pomiędzy Wyżyną Lubelską, a Wyżyną Sandomierską. Znikają monotonne ściany z wikliny. Rzeka płynie z dziką swobodą, podcinając wysokie skarpy i odkładając miękkie, piaszczyste plaże. Zbliżamy się do mostu w Annopolu. Witek Pityński wypływa krypą pod most, aby sprawdzić wodę. Dowództwo na tratwie przejmuje jego zastępca - Mieczysław Pityński. Rozpoczynamy manewry przygotowujące nas do przepłynięcia pod mostem. Kiedy Witek wraca na tratwę, jest już za późno i tratwa uderza przedcolem w filar mostu. Przeżywamy trudne chwile, albowiem col, który jest największy i najcięższy, spychany jest prądem wody na drugą stronę filaru. Jednak wszystko dobrze się kończy i wychodzimy z tej przygody bez szwanku. Za mostem Franek Kopyto odwozi do brzegu dziennikarza "Tygodnika Nadwiślańskiego" - Jerzego Koziola, który tutaj kończy swoją pływanekę. Wpływamy na potężne rozlewisko, które zmusza nas do wielokrotnego obalania tratwy. Rzeka jest usiana licznymi płycznami i wyspami. Tylko wprawne oko i doświadczenie naszego retmana ratuje nas przed wpłynięciem na mieliznę. Rzeka odzyskuje tu należne jej piękno. Nie ma tu nic regularnego, nic uporządkowanego ludzką ręką. Wisła jest tu jedynym projektantem i budowniczym. Wiatr wzmaga się coraz bardziej i zmusza nas do zaśrykowania tratwy i zrobienia postoju na około jedną godzinę. Odbijamy, obalamy tratwę i po wypłynięciu na wartówkę wyrównujemy kurs. Col tratwy przeżywa istny nalot pszczoł. Ja wówczas byłem na głowie i słyszałem buczenie podobne do głosu silnika samolotowego. Po chwili cała załoga colu w składzie: Ryszard Bryła, Mieczysław Łabęcki i Franek Kopyto, wymachując rękami chroni się w budzie, zamykając za sobą drzwi. Pszczoły odlatują, pogoda wyraźnie się poprawia. Retman Witek Pityński udał się krypą w dół rzeki w poszukiwaniu wartówki. Z krypy dał sygnał "puszczaj na głowie". Puściłem śryka, ale po sygnale "wybijoj" nie mogłem go wybić, za co otrzymałem reprimendę od retmana po jego powrocie na tratwę. Dalsza część tratwy mija nam bez specjalnych przygód. Podziwiamy piękną skarpe na lewym brzegu, porośniętą świerkiem i jałowcem. Przed Józefowem znów zaczynają się mielizny. Załoga głowy, czyli Mieczysław Pityński i Zdzisław Nikolas nie wybija w porę śryka, który potężnie zakleszczył się w skrzyni i tratwa wykonuje klasycznego "oberka", tzn. odwraca się colem do przodu i tak płynie. Jest to pierwszy "oberek" w naszej płyciance. Po wykonaniu następnego obalania wyrównujemy kurs i płyniemy jak Pan Bóg przykazał. Zostawiamy mielizny za sobą i spokojnie płyniemy dalej.

Po prawej stronie wioska Wałowice cechująca się dużą ilością kryp i galarów. Mieszkańcy gromadnie podpływają do nas, przyglądając się naszej tratwie, a my ich

galarom. Galary – płaskodenne, bezdziobowe łodzie służą mieszkańcom tej wioski do transportu krów i płodów rolnych z brzegu na brzeg, bo ich pola znajdują się po przeciwnej stronie rzeki niż domy. Podpływając, informują nas, że w dniu dzisiejszym oglądali naszą tratwę w "Teleexpresie".

Mijamy Józefów leżący na prawym brzegu, na wysokiej skarpie. Jest to planowane miejsce naszego postoju, jednak po krótkiej naradzie decydujemy się płynąć dalej, wykorzystując dogodne warunki pogodowe i wczesną jeszcze porę. Na kolację jemy potrawkę mięsną z warzywami, którą przyrządził Franek Kopyto. Za to wyśmienite danie otrzymuje zbiorową pochwałę od załogi. O godz. 21¹⁵, około 5 – 6 kilometrów za Józefowem śrykujemy tratwę na środku rzeki i idziemy spać.

30.06.1993 (środa) – 4 dzień spływu

Załoga w składzie: Wincenty Pityński, Ryszard Bryła i Franciszek Kopyto wybija śryki o godz. 4¹⁰. Reszta załogi wstaje o 5⁰⁰ i wspólnie odśpiewujemy "Kiedy ranne...". Pogoda jest wspaniała. Cicho i bezchmurnie. Przeżywamy piękne chwile. Cicha, spokojna rzeka, ptasi koncert w przybrzeżnych gąszczach i wspaniałe słońce wznoszące się coraz wyżej. Humory jeszcze bardziej poprawia nam Franek Kopyto, serwując nam barszcz biały z boczkiem, kiełbasą i jajkiem. Po obfitym śniadaniu, w znakomitych nastrojach załoga przystępuje do codziennych prac. Zdzich Nikolas z Frankiem Kopyto przygotowują beczkę, ponieważ chcemy przywitać Kazimierz okolicznościowym wystrzałem. Płyniemy bardzo spokojnie. Praktycznie do prowadzenia tratwy są potrzebne dwie osoby. Reszta, korzystając z pięknej pogody myje się, goli, lub oddaje słodkiemu nieróbstwu. Jest pierwszy z załogi, który kąpie się w Wiśle. Zdzich Nikolas, bo on to był, znajduje zaraz naśladowców, bo pogoda przechodzi w upalną. Przy ujściu Kamiennej, z lewego brzegu słyszymy okrzyki: "jałowym", "obalaj", które wydaje pewien starszy obywatel. Widocznie miał coś wspólnego z tratwami. O godz. 12³⁰ jemy obiad składający się z mięsa, ziemniaków i mizerii, który wiadomo kto przygotował. Zbliżamy się do pięknego zamku leżącego na wzgórzu, na lewym brzegu. Najprawdopodobniej jest to Janowiec, co potwierdza miejscowy wędkarz. Jak głosi legenda, w zamku tym krąży duch Białej Damy, która pokochała ubogiego flisaka (prawdopodobnie ulanowskiego, ale nie ma na ten temat dokładniejszych danych) i wyszła za niego za mąż, za co została wyklęta przez rodzinę. Nadaremnie wypatrujemy przez lornetki jej następczyni.

Prawy brzeg Wisły, dotychczas równinny, zaczyna się fałdować, opadając ku rzece stromą skarpą poprzecinaną licznymi wąwozami i jarami. Kazimierz wita nas stojącą na białej, wapiennej skarpie sylwetką drewnianego wiatraka. Za nim rząd drewnianych, krytych strzechą chat zachowanych w bardzo dobrym stanie. Płyniemy wzdłuż wysokiej skarpy pokrytej sosnowo – świerkowym lasem. Na wysokości przystani w Kazimierzu jesteśmy zmuszeni zaśrykować tratwę z powodu burzy i ulewnego deszczu. Załoga chroni się w budach, które doskonale przechodzą tę próbę. Po około 20 minutach postoju przepływamy obok statków żeglugi wiślanej "Wodnik" i "Polonia" i poniżej przystani śrykujemy tratwę przy brzegu.

Jest godz. 16⁰⁰. Na tratwie zostaje Rysiek Bryła, a reszta załogi wychodzi do miasta. Uzupełniamy zapasy tratwianej spizarni i zwiedzamy Kazimierz. Na pięknym kazimierzowskim rynku trwają zdjęcia do filmu "Dwa księżycy". Scenografia filmu przypomina Polskę międzywojenną. Oglądamy wielu aktorów ubranych w tradycyjne stroje żydowskie. Wchodzimy na basztę, z której podziwiamy piękny widok na miasto i dolinę Wisły. Z baszty widać, że mamy na tratwie gości, jednak z powodu dużej odległości trudno rozszyfrować, kto to jest. Wobec powyższego kończymy zwiedzanie miasta i wracamy na tratwę. Okazuje się, że przyjechali do nas burmistrz Andrzej Bąk i Marek Okoński. Ponadto na tratwę przybył burmistrz Kazimierza - Wiesław Giermasiński z członkami zarządu miasta. Zdzisław Nikolas oddaje na cześć dwóch burmistrzów dwa wystrzały z beczki, co budzi ogólny aplauz licznie zgromadzonej publiczności. Gospodarze miasta zapraszają nas na ognisko, które rozpalamy na brzegu obok tratwy. Jesteśmy tam podejmowani kiełbasą i piwem. Na życzenie naszych gospodarzy odśpiewujemy kilka pieśni flisackich. Około godz. 23⁰⁰ kończymy imprezę i wracamy na tratwę.

01.07.1993 (czwartek) – 5 dzień spływu

Wybijamy śryki o godz. 8⁰⁰, albowiem do Puław - miejsca następnego postoju mamy niedaleko. Pogoda jest wspaniała, słoneczna i bezwietrzna. Załoga tratwy zwiększa się o jeszcze jednego flisaka, bo burmistrz Andrzej Bąk, który opuścił tratwę w Stalowej Woli, znów do nas dołączył. Na pokładzie mamy kolejnego gościa. Jest to miejscowy plastyk Janusz Sitkowski, który okazuje się być kolegą z Akademii Sztuk Pięknych naszego rodaka - Andrzeja Pityńskiego. Po śniadaniu, którym jest kiełbasa z rożna, załoga wykonuje czynności według upodobania. Płyniemy bardzo spokojnie i po kilku godzinach ukazują się Puławy. Z mostu drogowego straż miejska informuje nas,

abyśmy przybyli do przystani wodnej. Stosujemy się do życzenia i śrykujemy tratwę za statkami „Ewelina” i „Kormoran”. Na brzegu wita nas Pani Prezydent miasta Puławy i osoby jej towarzyszące. Na cześć Pani Prezydent zostaje oddany honorowy wystrzał z beczki. Po wymianie upominków wykonujemy pamiątkowe zdjęcia. Pani Prezydent oddaje nam trzech funkcjonariuszy straży miejskiej i samochód. Dwóch z nich zostaje pilnować tratwy, a my udajemy się na zwiedzanie Puław. Jedziemy do zespołu pałacowo-parkowego Czartoryskich. Oczekujący nas tam przewodnik oprowadza nas po muzeum regionalnym i pałacu Czartoryskich, w którym obecnie mieści się Instytut Nawożenia i Gleboznawstwa. Zwiedzamy także Dom Gotycki i Świątynię Sybilli, które stanowią zbiór pamiątek po tym zasłużonym i potężnym rodzie arystokratycznym, a szczególnie po Izabelli z Flemingów Czartoryskiej. Po przejściu pięknym, przypałacowym parkiem i udzieleniu wywiadu dziennikarce „Głosu Lubelskiego”, przydzielonym nam samochodem wracamy na tratwę. Tam oczekuje nas kapitan żeglugi śródlądowej - Adam Reszke. Jest on wielkim entuzjastą starych metod pływania i jak twierdzi, gdyby nie obowiązki chętnie popłynąłby z nami do Gdańska. Pomógł on nam bardzo w dalszej części naszego spływu.

Wybijamy śryki i odpływamy z gościnnych Puław. Warunki żeglugi nieszczególne. Pogoda ładna, słoneczna, ale wieje mocny, boczny wiatr. Zjadamy zupę jarzynową i płyniemy dalej chcąc nadrobić jak najwięcej kilometrów. Ustalony harmonogram pływanki wyprzedzamy o około pół dnia. Około godz. 18⁰⁰ chcemy zatrzymać tratwę, aby zjeść jajecznicę na boczku. Okazuje się to niemożliwe z powodu zbyt głębokiej wody. Wobec powyższego jemy kolację płynąc. Mijamy potężne barki załadowane kamieniami i faszyną. Około godziny 20³⁰, przy pięknym zachodzie słońca zatrzymujemy tratwę przy lewym brzegu, gdzie znajdujemy dużo drzewa potrzebnego nam na opał. Rozpalamy na brzegu ognisko, przy którym wszyscy gromadzimy się omawiając miniony dzień i planując następny.

02.07.1993 (piątek) – 6 dzień spływu

Wincenty Pityński, Franciszek Kopyto i Mieczysław Pityński wybijają śryki o godzinie 4³⁰. Reszta załogi wstaje około 6⁰⁰. Odśpiewujemy „Kiedy ranne...” i zjadamy śniadanie na które składa się chleb, smalec, boczek i duszone żeberka. Pogoda jest ładna, świeci słońce. Dzień rozpoczynam bardzo pechowo - od stłuczenia śrykiem dużego palca u lewej nogi, który będzie mi dokuczał przez kilka dni. Zwracają uwagę nisko przelatujące samoloty odrzutowe, świadczące o bliskości lotniska wojskowego w Dęblinie. Ukazują się

dwa mosty dęblińskie - pierwszy kolejowy, drugi drogowy. Po prawej stronie mijamy ujście Wieprza, który wtłacza do Wisły swe niewiele czystsze wody. To tutaj nasi poprzednicy robili frycem żarty. Polecając im zmierzenie głębokości wody, śmiali się z nich, że „przebili wieprza”.

Na Wiśle duży ruch. Pływają barki, pogłębiarki, pchacze i holowniki. Naruszając tajemnicę wojskową przyglądamy się twierdzy dęblińskiej. Na brzegu dużo wojskowego sprzętu pływającego. Obawiając się wystrzelania w naszym kierunku torpedy - odpływamy dalej. Około godziny 9⁰⁰ śrykujemy na przystani w Dęblinie. Na tratwie zostaje Ryszard Bryła, Witek Pityński i Mieczysław Pityński. Reszta załogi udaje się do miasta na zakupy. Kiedy wracamy, zastajemy na tratwie burmistrza miasta wraz z zarządem. Po wymianie upominków i serii zdjęć podejmujemy gości wystawnym obiadem. Głównym i jedynym daniem tego obiadu była zupa fasolowa. Jeszcze wystrzał z beczki na cześć gości i żegnamy Dęblin. Towarzyszy nam ślizgacz z miejscowej stacji WOPR. Przeszkadza nam wiatr, ale ambitnie płyniemy dalej. Mietek Łabęcki boleśnie tłucze sobie nogę w grotynie. Wisła jest tutaj bardzo szeroka. Potężne mielizny i piaszczyste wyspy zmuszają nas do ciągłego lawirowania między nimi. Około godziny 21⁰⁰, kiedy już szykujemy się do postoju, col tratwy zostaje zarzucony w przeciąg, w skutek czego tratwa zawisa na wyspie. Można tu było zaobserwować rzadkie zjawisko wodne. Część nurtu rzeki zawracała łukiem i płynęła wzdłuż rzeki, by wpaść do przeciagu. To było przyczyną zawieszenia się tratwy. Cała załoga wchodzi do wody, która w najgłębszym miejscu miała około 70 cm głębokości i drągami spycha tratwę na noc. Na kolację dojadamy resztę grochówki i pieczone w ognisku ziemniaki. Słuchając ptasiego i żabiego koncertu idziemy spać.

03.07.1993 (sobota) – 7 dzień spływu

Załoga w składzie: Zdzisław Nikolas, Ryszard Bryła, Franciszek Kopyto i Mieczysław Łabęcki wybija śryki o godzinie 4¹⁵. Reszta załogi wstaje według upodobania. Tradycyjnie odśpiewujemy pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”. I tutaj podkreślę pewien bardzo piękny szczegół. Kiedy my w te ciche i spokojne poranki, przy wschodzącym słońcu śpiewaliśmy tę pieśń, łowiący ryby wędkarze ulegali nastrojowi tej chwili, ściągali czapki z głowy i słuchali naszego śpiewania. Po odśpiewaniu naszego pokładowego hymnu objadamy się barszczem białym z boczkiem, kiełbasą i jajkiem, który zdążył już przygotować Franciszek Kopyto. Pogoda jest wspaniała. Nie ma wiatru, słońce przygrzewa

coraz mocniej. Przed nami, raz z lewej, raz z prawej strony, bo Wisła tu mocno meandruje, bardzo wysokie kominy elektrociepłowni Kozienice. Rzeka ujęta po obu stronach w potężne umocnienia nie sprawia nam kłopotów. Na lewym brzegu zostawiamy za sobą potężne bloki elektrociepłowni. Ponieważ obsługa tratwy nie wymaga prawie żadnej pracy, część załogi zażywa wiślanej kąpieli. Przykład daje Rysiek Bryła, za nim idę ja i korespondent „Nowin Rzeszowskich” - Robert Sadowski. Niektórzy zaczynają narzekać na nadmiar słońca. Na obiad zjadamy zupę jarzynową. Na 431 kilometrze biegu Wisły mijamy po lewej stronie Ryczywół, a po prawej Pasternik. Po obiedzie zrywa się boczny wiatr. On to i szybki nurt rzeki wciągają tratwę w przeciąg. Śrykujemy tratwę i retman Witek Pityński płynie krypą w dół, aby zbadać wylot tego przeciągu. Decyduje płynąć dalej, albowiem jest szansa przepłynięcia, a wyciągnięcie tratwy w górę jest niemożliwe z powodu jej ciężaru i szybkiego nurtu wody. Po wydostaniu się z tej pułapki śrykujemy tratwę na noc i po zjedzeniu kaszy ze słoniną idziemy spać.

04.07.1993 (niedziela) - 8 dzień spływu

O godzinie 0⁴⁰ retman zarządza nocny alarm. Okazuje się, że tratwa uwolniła się ze śryków i spływa w dół rzeki. Rysiek Bryła i Mietek Łabęcki pomagają Witkowi ponownie zatrzymać tratwę. Wybijamy śryki o godz. 5⁰⁰. Dzień zaczyna się niefortunnie, albowiem od razu mamy kłopoty z płynięciem z powodu małej wody. Następnie Andrzej Bąk, chcąc namoczyć siekierkę, którą otrzymaliśmy w prezencie w Kazimierzu, namoczył ją w grotynie tak skutecznie, że już jej nie zobaczył. Jednak finał nieszczęść nastąpił o godz. 6³⁰. Silny, boczny wiatr zepchnął tratwę pod prawy brzeg rzeki i nisko zwisające gałęzie przewróciły dwie z trzech istniejących na tratwie bud mieszkalnych. Najbardziej zdziwiony tym faktem był reporter „Nowin” - Robert Sadowski, który jako jedyny z załogi w tym czasie jeszcze spał. Kiedy się obudził zobaczył nad sobą niebo i gałęzie, nie wiedząc jak się to stało. Po zaśrykowaniu tratwy rozpoczynamy poszukiwania naszych rzeczy, ciesząc się z każdego odnalezionego przedmiotu. Po zrobieniu remanentu okazało się, że z poważniejszych rzeczy zaginął tylko jeden z moich butów, nie licząc drobiazgów typu mydło, grzebień itp. Przystępujemy do naprawiania bud, z których jedna jest poważnie uszkodzona, druga przewrócona i przesunięta na sąsiednią taflę. Postój z tego powodu trwał około 2 godzin. Urwało się i zginęło jedyne na tratwie lustro. Najmniej z tego powodu zmartwiony jest Andrzej Bąk, który jako jedyny z załogi legitymuje się okazałą brodą. Jeżeli nie kupimy nowego lusterka, wszyscy będziemy zmuszeni upodobnić

się do niego.

Na opóźnione z powodu awarii tratwy śniadanie zjemy chleb i konserwy rybne. Zmagając się z wiatrem, który uparł się, aby wepchnąć tratwę na prawy brzeg, płyniemy dalej. Obiad mamy dietetyczny: ziemniaki, jajko sadzone i kapusta zasmażana. Wiatr jednak zwycięża i zmusza nas do zaśrykowania. Około 18⁰⁰ wybijamy i lawirując pomiędzy mieliznami i wyspami płyniemy dalej. Mijamy po prawej stronie ujście Wilgi, po lewej - Pilicy. Przy jednej z wysp obserwujemy stanowisko czapli siwej, po którym dostojnym krokiem brodzi siedem tych pięknych, dużych ptaków. W oddali widać dwa mosty w Górze Kalwarii. Przed mostem drogowym dajemy pokaz płynięcia tratwą, slalomując pomiędzy stalową przeszkodą wodną, a boją. Odbywa się to na oczach licznie zgromadzonych na obydwu brzegach wypoczywających. Po przepłynięciu pod mostem kolejowym, śrykujemy tratwę na środku rzeki i około 21³⁰ idziemy spać.

05.07.1993 (poniedziałek) – 9 dzień spływu

Wstajemy o 3⁴⁰. Jest to dla nas środek nocy, ale Witek Pityński wybił już śryki i postawił nas przed faktem dokonanym. Jest jeszcze szaro, ale dzień zapowiada się ładny. Jest cicho, bezchmurnie. Płyniemy spokojnie, często lawirując. Około godziny 8⁰⁰ śrykujemy tratwę i w sile czterech ludzi tj. Andrzej Bąk, Rysiek Bryła, Zdzich Nikolas i ja udajemy się kryptą na lewy brzeg, gdzie w pobliskiej wiosce Ciszyca dokonujemy zakupów. Kupiliśmy wówczas m.in. 30 kg ziemniaków. Nasz powrót reszta załogi przyjęła z wyraźnym zadowoleniem, albowiem zapasy tratwianej kuchni zupełnie się wyczerpały i nie było nawet nic na śniadanie. O sile naszych apetytów niech świadczy fakt, iż zjemy wówczas na jedno posiedzenie 4 chleby i 2 kilogramy pasztetówki. W doskonałych humorach i coraz bardziej upalnej pogodzie zbliżamy się do Warszawy, której wysokie obiekty można już zauważyć. Korzystając ze słonecznej pogody i stosunkowo czystej wody, kąpiemy się i myjemy w Wiśle. Wypadałoby się ogolić, ale na tratwie nie ma żadnego lusterka. Franek Kopyto goli się przeglądając się w kawałku wypolerowanej blachy. Rysiek Bryła zleca golenie Frankowi Kopycie. Reszta goli się „na wyczucie”, bez lusterka. Nasze usilne wysiłki w dziedzinie golarstwa podpatruje i udzielając swych „życzliwych” rad, komentuje Andrzej Bąk, którego golenie nie dotyczy. Na trasie wyjątkowa dla nas atrakcja. „Naga plaża” przy ujściu rzeki Świder. Widocznie tak miało być, bo to wiatr zepchnął nas na odległość około 4-5 metrów od tej plaży, co tym razem absolutnie nam nie przeszkadzało. Z głębi plaży przyglądają się nam

grupy golasów. Po skraju plaży, przed nami paraduje piękna blondynka w wieku około 25 lat ubrana jedynie w kapelusz z kwiatami. Normalną siłą rzeczy, wybitnie męska załoga porzuca swoje zajęcia i rezygnując z odpychania tratwy podziwia piękną dziewczynę. Nieubłagany prąd Wisły znosi nas i musimy odpłynąć od tej wyjątkowo ładnej plaży. Szczególnym popytem cieszą się teraz lornetki.

Warszawa coraz bliżej. Na lewym brzegu potężne budynki elektrociepłowni Siekierki. Od dłuższego czasu jesteśmy pod opieką policji wodnej miasta Warszawy, która uprzedzona o naszym przybyciu przez kapitana Adama Reszke, pomaga nam we właściwych momentach. Między innymi policja wodna załatwiła zdjęcie refulerów z rzeki na wysokości ujęcia wody „Gruba Kaśka”. Refulery są to stalowe rury umieszczone na pływakach, które spięte ze sobą służą do transportowania piasku zmieszanego z wodą z pogłębiarki na brzeg. Refulery zostały zdjęte, ale pozostała stalowa lina na której zawisa nasza tratwa. Odbicie jednego kłoca z tafla, połączone ze zbiorowym odepchnięciem tratwy pozwoliło nam na przepłynięcie tej przeszkody. Przed nami pierwszy warszawski most – Łazienkowski, pod którym przepływamy bez przeszkód. W samej Warszawie musimy ich pokonać jeszcze sześć. Upalna pogoda gromadzi nad rzeką licznych warszawiaków, którzy pozdrawiają nas. Na policyjnej łodzi motorowej podpływa do nas ekipa Telewizyjnego Kuriera Warszawskiego i odpływając wielokrotnie filmuje tratwę, nas i naszą pracę. Przepływamy pod mostami Poniatowskiego i Syrenki. Przed nami pierwszy w Warszawie most żelazny, zbudowany w 1864 roku, konstrukcji inż. Stanisława Kierbedzia. Obecnie nosi on nazwę Śląsko-Dąbrowskiego. Około godziny 18⁰⁰ śrykujemy tratwę po praskiej stronie, na wysokości Zamku Królewskiego. Po chwili podjeżdża do nas polonez straży miejskiej. Po przedstawieniu się informują nas, że działają w imieniu prezydenta Warszawy i są do naszej dyspozycji. Do miasta wjeżdżają: Andrzej Bąk, Mieczysław Łabęcki, Mieczysław Pityński i ja. Sprawy, które tam załatwiamy to zakupy i telefoniczne informowanie różnych osób, że już jesteśmy w Warszawie. Po ich załatwieniu i powrocie na tratwę okazuje się, że już mamy gości. Mianowicie przybili do nas: Teresa Sosnowska, Jan Stasiak i Henryk Skrzypek. Po radosnych powitaniach wyrażają oni zdziwienie, że tak trudny odcinek trasy potrafiliśmy przepłynąć z jednodniowym wyprzedzeniem. Słuchając bicia zegara z wieży Zamku Królewskiego i muzyki dyskotekowej ze stojącego naprzeciwko statku – kawiarni, udajemy się na spoczynek.

06.07.1993 (wtorek) – 10 dzień spływu

Potężna burza, która przechodzi nad Warszawą budzi nas o godzinie 4⁰⁰. Okazuje się, że nasze budy, po remoncie, nie spełniają wymogów, które przed nimi stawialiśmy i w niektórych miejscach przeciekają. Po prowizorycznym ich uszczelnieniu śpimy do rana. Budzimy się przy brzydkiej pogodzie. Jest zimno, wieje wiatr, pada srebrny deszcz. Dzisiejszy dzień jest przeznaczony na odpoczynek, wypływamy dopiero jutro. Niesprzyjające warunki pogodowe nie przeszkadzają licznym ekipom telewizyjnym i dziennikarzom, którzy kręcą filmy o nas i o tratwie, oraz nagrywają z nami rozmowy.

Praktycznie przez cały dzień na tratwie jest ktoś ze środków masowego przekazu. Z Ulanowa przyjeżdża Marek Okoński, Tadeusz Nowak – przedstawiciel naszego sponsora – firmy Aqua Term-Newex i dziennikarz tygodnika „Sztafeta”. Jest także kapitan Adam Reszke z komendantem policji rzecznej w Warszawie. Zjadamy fasolkę po bretońsku, ugotowaną przez Franka, albowiem dzisiaj odjeżdża do Ulanowa. Będzie nam go bardzo brakowało. Około godziny 16⁰⁰ pani Teresa Sosnowska przywozi na tratwę gorący posiłek – schabowego z kapustą dla każdego, co załoga przyjmuje ze zrozumiałą radością. Niedługo po niej przyjeżdża pan Jan Stasiak i zaprasza całą załogę do swojego mieszkania. Samochodami przejeżdżamy do naszego gospodarza, gdzie mamy okazję obejrzeć siebie i tratwę w Telewizyjnym Kurierze Warszawskim, i gdzie spożywamy następny obiad. Po powrocie na tratwę oczekują nas: Jan Nachajski i Jan Małaszowski z rodzinami, Karol Chmielowski, Robert Olszówka i przedstawiciele „Wodpol-u” - firmy, która zbudowała oczyszczalnię ścieków w Ulanowie. Obdarowani prezentami przez naszych gości rozpalamy ognisko na brzegu, obok tratwy. Do późnej nocy toczą się opowieści o Ulanowie, flisaczym życiu, przerywane chóralnym śpiewem pieśni flisackich. Żegnamy się z naszymi gośćmi, po usłyszeniu dwunastu uderzeń zamkowego zegara.

07.07.1993 (środa) – 11 dzień spływu

Wybijamy śryki o godzinie 6⁰⁰. Pogoda jest niezła, choć wieje wiatr w górę rzeki. Na tratwę wchodzi panowie: Jan Stasiak i Henryk Skrzypek, którzy chcą chociaż trochę przepłynąć się tratwą. Towarzyszą nam dwie policyjne łodzie motorowe. Przepływamy pod ostatnimi mostami warszawskimi - Gdańskim i Grota-Roweckiego i odwozimy do brzegu ulanowskich rodaków, którzy muszą udać się do pracy. Mijamy warszawską

twierdzą - cytadelę, hutę „Warszawa” i Fabrykę Samochodów Osobowych. Wzmaga się wiatr. Policjanci proszą o pomoc płynący obok nas holownik. Około 5 kilometrów płyniemy na holu. Dziękujemy załodze holownika za pomoc, który musi już wracać. Zjadamy na obiad zupę ziemniaczaną, w ugotowanie której niemały wkład miał jeden z policjantów - Krzysztof Krauze.

Wisła, która dotychczas była skrepowana nabrzeżami warszawskimi, rozlewa się szeroko, zmuszając nas do częstego manewrowania, co nie jest łatwe, zwłaszcza przy tak silnym wietrze. Pomagają nam w tym policyjne motorówki, napychając col lub głowę tratwy, w zależności od potrzeb. Dochodzi między nimi do kolizji, w wyniku której jedna z nich traci szybkość. Motorówką, która nie ucierpiała w zderzeniu zabieram się na rutynowy patrol. Na pełnym gazie mkniemy z szybkością około 50 km/h. Mkniemy w dół rzeki. Z tego patrolu przywozimy zarekwirowane sieci do połowu ryb i ryby. Motorówki opuszczają nas, bo tutaj kończy się rejon ich działania. Płyniemy dalej, ale idzie to opornie, bo wiatr w górę rzeki jest silny. Śrykujemy tratwę na środku rzeki około godziny 21⁰⁰ i po zjedzeniu kiełbasy przypiekanej na ognisku idziemy spać.

08.07.1993 – czwartek – 12 dzień spływu

Dzień dla mnie i dla Witka Pityńskiego zaczyna się dość wcześnie, bo o godzinie 0³⁰. Witek słowami „drzewo idzie” wyciąga mnie z ciepłego śpiwora. Nie jest takie proste, w całkowitych ciemnościach przejść na col tratwy i ponownie postawić śryki. Jednak udaje nam się to i po zatrzymaniu i umocowaniu tratwy idziemy spać. Wszyscy wstajemy o godzinie 6⁰⁰. Wieje dosyć mocny wiatr. Zdajemy sobie sprawę, że czeka nas ciężki dzień. Tradycyjnie zbieramy się na colu i śpiewamy „Kiedy ranne...”. W miarę upływu dnia wiatr staje się coraz mocniejszy. Około godziny 9⁰⁰ spycha nas w „martwą wodę” i przypiera do wyspy. Po licznych manewrach udaje się nam wypłynąć, aby po chwili stanąć przy brzegu. Część załogi wychodzi na ląd i przy pomocy liny ciągnie tratwę. W końcu wiatr zwycięża i zmusza nas do postoju. Wykorzystując słońce załoga suszy przemoczone rzeczy. Wraz z Mieczysławem Pityńskim udaje się do pobliskiej wioski Czosnów, gdzie kupujemy w sklepie artykuły żywnościowe. Gdy wracamy jest już gotowa zupa. Nazwę jej trudno jest podać, ale była dobra. Około godziny 13⁰⁰, gdy wiatr się nieco zmniejsza – płyniemy dalej. Wiatr staje się coraz mocniejszy. Fale przelewają się przez tratwę. Znalezienie właściwego nurtu rzeki, staje się coraz trudniejsze. W oddali rysuje się przysadzista sylwetka twierdzy w Modlinie. Ze szczególnym sentymentem przygląda się jej Rysiek Bryła, które spędził tu

kilka miłych chwil, odbywając służbę wojskową. Z prawej strony, w brzegu – ogromna luka. Jest to ujście Bugu lub Narwi, jak kto woli, albowiem nazwa rzeki wpadającej w tym miejscu do Wisły jest przedmiotem sporu licznych autorytetów geograficznych. Silny wiatr spycha tratwę na mieliznę, tak skutecznie, że aby ją zepchnąć musimy rozpinać kanaty. Ponieważ robi się już późno, a płynie się bardzo ciężko, około godziny 20³⁰ śrykujemy tratwę na noc.

09.07.1993 (piątek) – 13 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 3³⁰, chcąc nadrobić straty, które powstały w dniu wczorajszym. Jest jeszcze szaro, ale można płynąć. Od razu kłopoty ze śrykiem, który tak mocno zaklinował się w skrzyni, że nie możemy go wybić. Zapowiada się ładny do pływania dzień. Prawy brzeg Wisły, dotąd równinny, zaczyna się wznosić, tworząc skarpy, nie widziane przez nas od Kazimierza. Nie zatrzymując tratwy Andrzej Bąk, Mieczysław Pityński i Stanisław Zwolak płyną kryptą do wioski, gdzie dokonują zakupów. Jest to pierwszy wypadek zaprowiantowania tratwy bez jej zatrzymywania. Mijamy 561 kilometr biegu rzeki. Warunki do pływania dobre. Pogoda słoneczna, wieje lekki boczny wiatr. Na obiad jemy zupę, której najbardziej znaczącym składnikiem był groch. Przy lewym brzegu, obok wyspy majestatycznie brodzi w wodzie siedem czapli. Po chwili niektóre z nich ciężko podrywają się do lotu. Dopływamy do Czerwińska, położonego na wysokiej skarpie. Na ostrym łuku rzeki wpadamy na główkę. Sytuację komplikuje fakt, że poniżej główki sterczy z wody potężny dąb. Metodą licznych manewrów wychodzimy z tej pułapki. Śrykujemy tratwę na środku rzeki i Andrzej Bąk, Mieczysław Łabęcki i Stanisław Zwolak udają się kryptą do miasteczka. Dokonujemy tam zakupów i oglądamy piękny kościół romański z 1155 roku. Samo miasteczko wygląda jakby czas w nim się zatrzymał. To właśnie w Czerwińsku przeprowili się przez Wisłę wojska króla Jagiełły w swym marszu na wojnę z Zakonem Krzyżackim w 1410 roku. Most jak podaje Długosz miał pół kilometra długości, 3,5 metra szerokości i był znaczącym elementem sztuki saperskiej. Krzyżacy zaskoczeni błyskawicznym przejściem Wisły nie zdołali zebrać wszystkich swych sił pod Grunwaldem. Długosz podaje że wojska polsko-litewskie przechodziły przez most w Czerwińsku trzy doby. Od Czerwińska prawy brzeg Wisły ciągnie się wysoką skarpią porośniętą lasem z licznymi domkami lotniskowymi. Około godziny 21⁰⁰ śrykujemy tratwę na środku rzeki i po zjedzeniu chleba z boczkiem konserwowym idziemy spać. Przed nami Wyszogród, którego most już widać.

10.07.1993 (sobota) – 14 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 5⁰⁰. Dzień zapowiada się ładny, świeci słońce i wieje lekki wiatr w dół rzeki. Przed nami relikwiny sztuki mostowej: najdłuższy w Europie most drewniany, 1285 metrów długości, wsparty na 60 filarach, z których trzy aktualnie jest w remoncie. Miasto położone jest na prawym brzegu na wysokiej skarpie. Przy brzegu dużo łódek, co świadczy o mocnym związku miasta z rzeką. Za mostem po lewej stronie mijamy ujście Bzury. Przy prawym brzegu rząd dużych wysp, porośniętych wysokim lasem liściastym. Płynięcie nie sprawia nam żadnych trudności. Wprawna ręka Witka Pityńskiego trzyma tratwę ściśle na wartówce. Reszta załogi pogrążona w słodkim nieróbstwie. Około godziny 11⁰⁰ płyniemy po płytkiej wodzie, obok piaszczystej wyspy. Wyspa się kończy, za nią jest „martwa woda”. Nagle słychać głośny plusk. Oto z tej spokojnej wody na płycznę wyskakuje potężny sum. Nie może spłynąć na głębszą wodę, bo blokuje go tratwa. Zdzisław Nikolas, który wówczas był najbliżej, uderza go trzymanym w rękę bosakiem. Jeszcze kilka uderzeń i wciągamy na tratwę potężną rybę. Jej długość wnosi około 170 cm, waga około 40-50 kilogramów. Mając takie trofeum, robimy serię grupowych i indywidualnych zdjęć. Komentując to zdarzenie doszliśmy do wniosku, że sum zaskoczony nagłym pojawieniem się tratwy, wyskoczył gwałtownie do przodu, na płytką wodę. Ponieważ przetrzymanie takiej masy mięsa na tratwie było niemożliwe, po skonsumowaniu jego części, resztę rozdaliśmy napotkanym wędkarzom.

Wiatr staje się coraz mocniejszy. Około godziny 13⁰⁰ decydujemy się zaśrykować tratwę, albowiem płynięcie stało się niemożliwe. Ja, Ryszard Bryła i Andrzej Bąk idziemy do pobliskiej wioski Rakówo, gdzie dokonujemy zakupów w sklepie i u miejscowych gospodarzy. Na obiad jemy flaki ze słoików. Wybijamy o godzinie 17⁰⁰. Od razu przeżywamy dramatyczną sytuację. Tratwa rozpędzona wartówką płynie głową w łód, obok którego sterczy z wody potężny konar. W ostatniej chwili najdłuższy ze śryków sięga dna i tratwa obala się tuż przed konarem. Płynięcie staje się coraz spokojniejsze, albowiem wiatr ucicha. Tratwa niesiona szybką wartówką nadrabia stracony czas. Na kolację jemy flaki z dodatkiem makaronu. Około godziny 21³⁰ śrykujemy na środku Wisły.

11.07.1993 (niedziela) – 15 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 4³⁰ mając nadzieję, że nie będzie wiatru. Okazuje się, że wiatr jest, tyle, że południowy, czyli nam sprzyjający. Wybijamy śryki i płyniemy dosyć spokojnie. Po odśpiewaniu „Kiedy ranne...” zjemy śniadanie, na które składa się chleb, golonka konserwowa i herbata. Około godziny 8⁰⁰ wpadamy na mieliznę i tylko zbiorowe wejście załogi do wody, z równoczesnym rozpięciem środkowych kanatów, pozwoliło wydostać się z tej opresji. Zajął nam to około 1,5 godziny. Dalsze płynięcie przebiega bez przygód. Zaczyna się odczuwać wolniejszy nurt Wisły. Jest to skutek działania zapory we Włocławku. W oddali pojawiają się zabudowania Płocka, z dominującymi wieżami katedry i kominami Petrochemii. Na obiad jemy zupę jarzynową, którą ugotowaliśmy z tego, co było do dyspozycji. Była propozycja, aby dodać także pokrojony w kostkę żółty ser, jednak po dłuższej dyskusji propozycja ta upadła. W efekcie coraz mniejszej szybkości naszej tratwy, do Płocka przyplływamy około godziny 18⁰⁰. Śrykujemy przy lewym brzegu za mostem. Cała załoga płynie kryptą na drugą stronę do miasta. Wchodzimy na Wzgórze Tumskie, skąd podziwiamy piękny widok na dolinę Wisły. Następnie zwiedzamy katedrę płocką z licznymi nagrobkami książąt mazowieckich, licznymi herbami kolejnych biskupów płockich, wykończoną wspaniałą polichromią. Mamy także okazję wysłuchać pięknego koncertu organowego. Oglądamy basztę zamku książęcego, w której w 1085 roku przyszedł na świat i później wielokrotnie przebywał król Bolesław Krzywousty. Następnie udajemy się do kościoła Ojców Salezjanów. Na tratwę wracamy około godziny 21⁰⁰.

12.07.1993 (poniedziałek) – 16 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 7⁰⁰. Tak późna pobudka wiąże się z faktem, iż z Płocka do Włocławka nie można płynąć tratwą. Jedynie retman Wincenty Pityński wstał trochę wcześniej, bo o godzinie 1⁰⁰, aby na miejsce postoju doprowadzić głowę tratwy, wypchaną wiatrem na rzekę. Po zaprowiantowaniu tratwy Andrzej Bąk i Zdzisław Nikolas udają się do kapitanatu portu rzecznego w Płocku, na rozmowy w sprawie holownika. Rozmowy kończą się powodzeniem i o godzinie 10⁰⁰ holownik „Harnaś” rzuca nam linę holowniczą. Wypływamy na zalew włocławski, żegnając piękny i życzliwy nam Płock. Załoga ma nareszcie odpoczynek po piętnastu dniach ciężkiej pracy. Prawy brzeg Wisły jest wysoki i urwisty, w przeciwieństwie do równinnego i niskiego brzegu lewego. Po prawej stronie mijamy piękną wyspę porośniętą lasem topolowym z domieszką olchy i wierzby. Otoczona

jest ona całymi łanami tataraku, pałki wodnej i trzciny. Na wyspie i wokół niej liczne stada kormoranów, czapli siwej i innych gatunków drobniejszych ptaków wodnych. Wyspa najprawdopodobniej jest ścisłym rezerwatem przyrody, albowiem nie zauważyłem tam żadnej ingerencji człowieka. Napotykamy liczne, licząc około 50 sztuk stado łabędzi, które zaniepokojone naszą obecnością, ciężko podrywają się do lotu. Z ośrodka żeglarskiego w Duninowie podpływa do nas kilkanaście żaglówek i łodzi motorowych. Pozdrawiają nas, przyglądając się bacznie, na czym my płyniemy. W miarę nasilania się wiatru, fala staje się coraz większa i przelewa się przez tratwę tworząc piękny, przypominający morski widok. Jak na razie nie wyrządza ani nam, ani tratwie żadnej krzywdy. Stroma dotychczas skarpa wiślana przechodzi w łagodne wzgórza schodzące w dół rzeki żółtymi łanami zbóż i zielonymi połaciami łąk, przerywanych gdzieniegdzie wąskimi pasami wąwozów i sadów. Przed nami Dobrzyń. To tutaj, w 1228 roku Konrad Mazowiecki osadził pierwszych rycerzy zakonnych. 25 stycznia 1979 roku na dnie zalewu spoczęła barka, a wraz z nią przewożone na niej samochody – 51 fiatów 125p i 10 zastaw. Specjalna komisja ustaliła, że przyczyną zatonięcia barki była wysoka, około 1-metrowej wysokości fala. Rzeka – zalew mierzy około 1,5 kilometra szerokości. Głębokość nie jest duża, dochodzi do 10-11 metrów. Długość zalewu wynosi około 50 kilometrów i zmienia się w zależności od stopnia spiętrzenia wody. Płyniemy przez tereny nawiedzone jedną z największych powodzi, jakie wystąpiły w Polsce. Powódź ta zdarzyła się w styczniu i lutym 1982 roku. Na horyzoncie pojawia się Włocławek, do którego przybliżamy około godziny 18⁰⁰. Po przycumowaniu tratwy w basenie śluzowym, całą grupą przechodzimy po koronie zapory, pełniące również rolę mostu, na drugi brzeg, zatrzymując się w miejscu, w którym poniósł męczeńską śmierć ksiądz Jerzy Popiełuszko, co uwiecznione jest pamiątkową tablicą. Następnie oglądamy monumentalny krzyż, wykonany ze stali nierdzewnej i szkła fluorescencyjnego, który stanowił fragment ołtarza, przy którym Jan Paweł II odprawił mszę świętą podczas swego pobytu we Włocławku. W miejscach tych wykonujemy pamiątkowe zdjęcia. Ponieważ w tym dniu, z powodu wiatru i dużej fali nie gotowaliśmy obiadu, zjadamy go we Włocławku, w restauracji „Zajazd Polski”. Około godziny 21⁰⁰ wyruszamy na tratwę.

13.07.1993 (wtorek) – 17 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 6³⁰. Mietek Łabęcki Rysiek Bryła i Stanisław Zwolak udają się do miasta na zakupy. Zdzich Nikolas, Andrzej Bąk i Mieczysław Pityński idą do dyrekcji zapory na rozmowy w sprawie prześluzowania tratwy. Około godziny 12⁰⁰ wracają z hiobową wieścią, że tratwa absolutnie nie może być prześluzowana z powodu remontu śluzy. Poradzono nam czekać około 14 dni. Decydujemy się na przerzut tratwy przy pomocy dźwigu i samochodu. Dzielimy się przy tym smutnymi refleksjami. Pokonaliśmy jak do tej pory wszystkie przeszkody naturalne, zatrzymaliśmy się dopiero przed tworem wymyślonym i zbudowanym przez człowieka. Tutaj tratwa musiała ustąpić i podnieść się z ody, aby łądem przejechać zaporę wodną we Włocławku. Zdecydowaliśmy się na przerzut tratwy, aby nie wracać przedwcześnie do Ulanowa i uciąć tym sposobem wszystkie plotki i domysły, jakie niewątpliwie powstałyby po naszym przyjeździe. Około godziny 14⁰⁰ podjeżdża pod tratwę dźwig „Celes” i samochód platforma z włocławskiego „Transbudu”. Rozpoczynamy demontaż tratwy. Rozpinamy kanaty, odbijamy z tratwy jedną belkę, przecinamy ją na pół i jak legary podkładamy ją pod pierwszą taflę – głowę. Dźwig bez problemów podnosi ją i ustawia na samochodzie. Wprawdzie wymiary tej tafli znacznie przekraczają gabaryty samochodu, ale mamy nadzieję, że jakoś przejedziemy. Następnie w ten sam sposób podnosimy przedgłowie, wraz z budą – retmanką. Tu nie idzie tak łatwo. Legary ślizgają się po mokrych belkach, pękają i łamią się szorce. Prawy bok tafli jest poważnie zdeformowany. Po kilku próbach udaje się podnieść przedgłowie i ustawić go na poprzedniej tafli, na samochodzie. Tratwa pierwszy raz jest w powietrzu od czasu zbijania na bindudze ulanowskiej tj. 22 czerwca 1993 roku. W asyście policji rozpoczynamy przewóz tratwy na most – zaporę i zatrzymujemy się nad kanałem śluzowym. Ruch na moście jest mocno ograniczony. Z obu stron tworzą się kolejki samochodów. Rozpoczynamy opuszczanie tratwy na wodę, pokonując tym sposobem różnicę poziomów wody 11,5 metra. Opuszczanie przebiega pomyślnie i doprowadzamy obie tafle na bok kanału śluzowego. Operację przerzucania tratwy opisuje i fotografuje miejscowy dziennikarz z „Gazety Pomorskiej”. Wincenty Pityński i Stanisław Zwolak zostają naprawiać rozbite przedgłowie, reszta załogi wraca, aby załadować dwie pozostałe tafle – przedcole i col. Przy naprawie przedgłowia usiłują nam pomóc członkowie załóg stojących obok pchaczy „Retman-3” i „Retman-4”. Pomoc ta ograniczyła się do dostarczenia nam narzędzi, albowiem w bardzo krótkim czasie wszyscy skutecznie się namoczyli i wrócili na swoje statki. Przy podnoszeniu cola

okazało się, że dźwig ma trudności z podniesieniem go, albowiem pracował na bardzo wysuniętym wysięgniku. Według relacji operatora waga tej tafli wynosiła około 12 ton. Obie tafle udało się załadować, pomimo, że na przedcolu stały dwie budy. Natomiast przy opuszczeniu na wodę, operator nie zgodził się na opuszczenie cola w całości, obawiając się przewrócenia dźwigu, co zmusiło nas do przecięcia szorców i podzielenia tej tafli na pół. Całość operacji podniesienia, przewiezienia i opuszczenia tratwy, wraz z wykonaną w międzyczasie prowizoryczną jej naprawą zakończyliśmy o godzinie 23³⁰. W ciągu 9 godzin tratwa przebyła odcinek około 250 metrów, ale o różnicy poziomów wody 11,5 metra. Zmęczeni - zjadamy obiado-kolację i idziemy spać zadowoleni, że mamy to już za sobą i że budy nie uległy uszkodzeniu.

14.07.1993 (środa) – 18 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 6⁰⁰. Rozpoczynamy naprawę tratwy, usuwając wszelkie szkody i przygotowując ją do dalszej drogi. Najbardziej poszkodowany w czasie tej przeprowadzki został col, albowiem był on przecięty na pół i wymaga teraz nowych szorców. Kupujemy długie gwoździe i wstawiamy nowe szorce. Około godziny 12⁰⁰, przy pomocy liny wyciągamy tratwę z kanału śluzowego i wyprowadzamy ją na rzekę. W czasie wyciągania tratwy zauważamy duże ilości małży i raków w kanale śluzowym, których dotychczas nie widzieliśmy na Wiśle. Wieje dość mocny wiatr w górę rzeki i na domiar złego nurt Wisły jest bardzo wolny. Z tyłu widać w całej okazałości zapórę wodną we Włocławku, która sprawiła nam tyle kłopotów. Po godzinie bardzo wolnego płynięcia zatrzymujemy tratwę przy lewym brzegu i stoimy około dwóch godzin. Naprzeciwko nas, na prawym brzegu wznosi się samotne wzgórze Szpetal, będące rezerwatem przyrody. Jest tu największe w Polsce skupisko „krzaku gorejącego”, który w upalne dni zapala się od promieni słońca. Płyniemy przez Włocławek, mijając zakłady celulozowe, fabryk farb i lakierów i miasto z długim, pięknym bulwarem z którego pozdrawiają nas mieszkańcy. Płyniemy bardzo wolno. Po przepłynięciu pod mostem, srykujemy tratwę na środku Wisły o godzinie 21³⁰. W dniu dzisiejszym przepłynęliśmy tylko 6 kilometrów.

15.07.1993 (czwartek) – 19 dzień spływu

Część załogi tj. Andrzej Bąk, Mieczysław Łabęcki i Mieczysław Pityński wstaje o godzinie 4²⁰ i odśrykowuje tratwę. Pozostała część śpi, albowiem Wisła jest łatwa do żeglugi. Pogoda słoneczna, wieje lekki, zmienny wiatr. Płyniemy spokojnie, nurt Wisły wyraźnie szybszy. Po odśpiewaniu „Kiedy ranne...” na śniadanie jemy serdelki z bułkami. Mijamy Bobrowniki z ruinami zamku, położonymi tuż przy brzegu. Ponieważ zbliża się pora obiadowa, postanawiamy zatrzymać się w Nieszawie i tam jemy schabowego z bukietem jarzyn w pięknej restauracji „Jagiellonka”. Nieszawa to małe, ale stare miasteczko położone tuż nad rzeką, na lewym brzegu. To właśnie tutaj król Kazimierz Jagiellończyk ogłosił Statuty nieszawskie, dając szlachcie różne przywileje. Z zacięciem oglądamy piękny prom z napędem bocznokołowym, przypominający swym wyglądem statki kursujące kiedyś po Missisipi. Pogoda nadal słoneczna, lekki wiatr. Zauważamy znaczny przybór wody, co wydatnie zwiększa naszą szybkość. Szybki nurt wciąga nas w „przeciąg”, jednak wychodzimy z niego bez przeszkód. Za Nieszawą Wisła się zwęża. Przy brzegach stare, pruskie budowle regulacyjne. Wiatr ucicha, osiągamy największą szybkość w czasie całego, naszego spływu. Tratwa płynie swobodnie, załoga wypoczywa po sutym obiedzie i wcześniejszych trudach. Około godziny 20⁰⁰ zbliżamy się do budującego się mostu w miejscowości Grabowiec, przed Toruniem. Niemal cała Wisła zastawiona jest stalowymi pontonami. Zostawione jest tylko wąskie przejście, w które staramy się wpłynąć. Nurt Wisły zwiększa swoją szybkość. Pomimo wyteżonej pracy obiema drygawkami, widać, że nie zdołamy wpłynąć w przejście. Puszczamy na colu najdłuższe śryki, które pomimo, że całe chowają się w skrzyniach, ledwo dotykają dna. Tratwa zwalnia, ale nadal płynie. Sytuacja staje się bardzo groźna, nie ma już szans na wpłynięcie w przejście. Przed nami stalowe pontony, spięte ze sobą, stanowiące stały pomost. Od lewego brzegu, z przyczółka budującego się mostu, odbija holownik „Rybitwa” i płynie w naszym kierunku. Podpływa do colu i rzuca nam krótki hol, który natychmiast mocujemy do szorców. Holownik uruchamia całą moc swoich silników. Cały col zlany jest falą wody, podchodzącą od śruby holownika. Wszyscy na colu są zmoczeni do kolan. Pomimo uruchomienia całej swej mocy, holownik jedynie utrzymuje tratwę w miejscu, nie może pociągnąć jej w górę. Załoga holownika przygotowuje drugi, dłuższy hol, który błyskawicznie zakłada, łącząc go z krótkim. Teraz tratwa zaczyna płynąć w górę. Na holu bezpiecznie wpływamy w przejście. Szczęśliwie uniknęliśmy bardzo groźnej kolizji. W momencie przejścia przez holownik głowa tratwy była oddalona od pontonów o około 2 metrów. Gorąco dziękując załodze holownika za błyskawiczną i skuteczną interwencję,

oddajemy hol i płyniemy dalej, komentując to wydarzenie. Na kolację jemy kiełbasę z różną i o godzinie 21³⁰ wiążemy tratwę na linie w zatoce, za główką.

16.07.1993 (piątek) – 20 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 5³⁰ chcąc jak najszybciej być w Toruniu, który już jest widoczny w oddali. Planujemy zrobić tam dłuższy postój. O 8³⁰ śrykujemy tratwę przy bulwarze w Toruniu. Tutaj oczekują nas: Franciszek Kopyto, Marek Okoński, Roman Chmielowski i Władysław Olszówka. Przywieźli nam prezenty od naszych rodzin i najświeższe nowiny z Ulanowa. Pogoda jest deszczowa, siąpi drobna mżawka. Całą załogą udajemy się do miasta, gdzie zwiedzamy rynek staromiejski i katedrę toruńską. Robimy zdjęcia przed pomnikiem Mikołaja Kopernika i ratuszem miejskim. Zjadamy golonkę w restauracji „Flis”. Około godziny 13⁰⁰ żegnamy się z Romanem Chmielowskim i Władkiem Olszówką, którzy wracają do Ulanowa. Franek Kopyto i Marek Okoński zostają z nami na tratwie. Pogoda wyraźnie się poprawia, świeci słońce. Woda opadła, nurt rzeki jest wolniejszy. Wisła znacznie szersza, z licznymi mieliznami, zmusza nas do częstego lawirowania, jednak płyniemy bez kłopotów. Franek Kopyto i Staszek Zwolak ściągają z wyspy potężną belkę i kryptę przywożą ją na tratwę. Według oceny fachowca – Andrzeja Bąka ma ona około 0,35 m³.

Po pocięciu i porąbaniu wystarczy nam na kilka dni palenia. Na kolację jest chleb, pasztetowa, sałatka jarzynowa i herbata z cytryną. Śrykujemy około 21³⁰ przy brzegu w Solcu Kujawskim. Solec Kujawski był końcowym portem wielu ulanowskich tratw. My jutro płyniemy dalej.

17.07.1993 (sobota) – 21 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 4⁰⁰ po wybiciu śryków i przepłynięciu kilkuset metrów, dalsze płynięcie okazuje się niemożliwe z powodu bardzo gęstej mgły. Ponownie śrykujemy i czekamy, aż mgła opadnie. Jest cicho, świeci słońce. Wybijamy o 5³⁰. Mijamy wejście do kanału bydgoskiego – zbudowanego w 1773 roku. O godzinie 9³⁰ zatrzymujemy się w Fordonie – dzielnicy Bydgoszczy. Tutaj Franek Kopyto, Rysiek Bryła i Staszek Zwolak prowiantują tratwę, a Andrzej Bąk i Marek Okoński telefonicznie rozmawiają z Warszawą, Gdańskiem i Poznaniem. Wypływamy o 10³⁰. Jest coraz cieplej, wieje lekki wiatr w dół

rzeki. Wraz z powrotem Franka Kopyty, wróciły dobre czasy jeżeli chodzi o wyżywienie załogi. Na śniadanie zaserwował rosół z kurczaka z makaronem, teraz krząta się przygotowując bigos z ziemniakami. Reszta załogi oddaje się ulubionym zajęciom, głównie grze w karty.

Około godziny 14⁰⁰ tratwa wpada na mieliznę. Załoga wchodzi do wody i po rozpięciu kanatów spycha dwie części tratwy do głębszej wody. Nie udaje się nam spiąć tratwy i w dwóch częściach spływamy w dół rzeki około 2 kilometry, w odległości 200 metrów od siebie. Łączymy obie części spinamy kanaty i płyniemy dalej. Wiatr staje się mocniejszy. Lewy brzeg dotąd płaski, zaczyna się wznosić, tworząc wysokie wzgórza porośnięte lasami. Około godziny 16⁰⁰ śrykujemy na głowie, chcąc obalić tratwę. Nie udaje się wybić w porę śryka i pękają kanaty. Tratwa znów się rozdziela. Głowa i przedgłowie zostają zdjęte przez holownik „Sylwan”, który w tym czasie przepływał obok nas. Tym razem szybko się łączymy i płyniemy dalej. Około godziny 21³⁰, kiedy już się ściemniało, chcemy zatrzymać się za wyspą. Podpływamy za blisko wyspy i wchodzimy do wody, aby zepchnąć tratwę z mielizny. Okazuje się to niemożliwe bez rozpięcia kanatów. Po raz trzeci w tym dniu rozpinamy kanaty i spychamy tratwę. Szybko się łączymy i przy świetle pochodni spinamy tratwę. Około 23⁰⁰ śrykujemy na nocleg.

18.07.1993 (niedziela) – 22 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 6⁰⁰. Niebo jest zachmurzone, chociaż deszcz nie pada. Nie zatrzymując się mijamy na prawym brzegu Chełmno – ładne miasto z licznymi wieżami kościołów. Odśpiewujemy „Kiedy ranne...” i zjadamy na śniadanie barszcz biały z jajkiem, boczkiem i kiełbasą przyrządzony przez niezastąpionego w tych sprawach Franka Kopytę. Mijamy leżące na lewym brzegu Świecie, z pięknym zamkiem z czerwonej cegły. Szukam lornetkę postaci konturów i knechtów, ale nie mogę ich zauważyć. Widocznie się pochowali. Ponieważ nie mamy wody spożywczej, śrykujemy tratwę widząc znajomą sylwetkę holownika „Sylwan”. Wąską ścieżką na wysoką skarpe wspinają się: Marek Okoński, Rysiek Bryła, Zdzich Nikolas i Staszek Zwolak. Witamy się z naszym wczorajszym wybawcą – panem Łożewskim i jego żoną, którzy tutaj mają działkę i domek letniskowy. Oglądamy wspaniały widok na dolinę Wisły i bardzo malutką z tej wysokości naszą tratwę. Napęlamy kanistry czystą, źródlaną wodą i zostajemy obdarowani przez naszych gospodarzy dużą ilością jabłek i gruszek. Od pana Łożewskiego dowiadujemy się kilka szczegółów o tych

okolicznościach. Otóż lewy brzeg Wisły, wznoszący się od Świecia nosi nazwę „Diabelskie Wzgórza” - od licznych piratów, którzy tu mieszkali i napadali na płynące rzeką statki i łodzie, rabując je. Nasz gospodarz jest ostatnim piratem, bo chociaż nie napada na statki, ma dwie córki i na nim ród piratów się kończy. Wiadomości te ma od swoich przodków, którzy tu zamieszkiwali. Gorąco dziękując państwu Łozewskim, wracamy na tratwę. Płyniemy wzdłuż „Diabelskich Wzgórz”, porośniętych lasem liściastym. Są to końce Borów Tucholskich, które w tym miejscu dochodzą do Wisły. Obecnie „Diabelskie Wzgórza” są ścisłym rezerwatem przyrody, ze względu na występujące tu rzadkie okazy roślin. Mijamy leżący na szczycie jednego ze wzgórz piękny pałacyk. Kuchmistrz pokładowy, Franek Kopyto, wraz ze swoim pomocnikiem Markiem Okońskim smaży kotlety mielone, których smakowity zapach roznosi się po całej tratwie. Śrykujemy tratwę na środku rzeki i spokojnie jemy obiad.

Zerwał się dosyć mocny wiatr, ale wieje w dół rzeki. Znikają wzgórza na lewym brzegu, pojawiają się na prawym. Przepływamy obok nowych dzielnic Grudziądza, z wysokimi blokami mieszkalnymi. Po przepłynięciu pod mostem, cumujemy przy nabrzeżu, w starej części miasta. Przed nami, po prawej stronie piękny rząd kamieni i spichlerzy, zrosnięty w całość i stanowiący fragment murów obronnych miasta, z licznymi otworami strzelniczymi. Cała załoga pośpiesznie przebiera się, albowiem zbliża się godzina 18⁰⁰ i chcemy zdążyć do kościoła. Uczestniczymy we mszy świętej w kościele p.w. świętego Mikołaja. Jest to potężny kościół z czerwonej cegły o strzelistych sklepieniach łukowych. Tynkowane jedynie filary, pokryte są freskami z postaciami świętych. Kościół ten został zbudowany w 1299 roku. Zwiedzamy miasto z wąskimi, brukowanymi kamieniem uliczkami. Szczególnie podobał się nam rynek z pięknie odrestaurowanymi kamieniczkami i pomnikiem Legionisty na środku. Odbijamy od nabrzeża, aby zaśrykować na środku rzeki. Na kolację Franek Kopyto serwuje makaron z wołowiną w sosie własnym, za które to danie otrzymuje kolejną pochwałę od załogi.

19.07.1993 (poniedziałek) – 23 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 5⁰⁰, chcąc dopłynąć dziś do Gniewu. Po przepłynięciu około 2 kilometrów, na rzece pojawia się tak silna mgła, że dalsze płynięcie jest niemożliwe. Gdy mgła opada, około 7³⁰ płyniemy dalej. Dzień zapowiada się ładny. Jest bezwietrznie, słońce operuje coraz mocniej. W odległości około 10 kilometrów od Grudziądza (843 kilometr biegu Wisły), na prawym brzegu leży potężne wzgórze, wyrastające

z płaskiego dotychczas terenu, porośnięte gęstym lasem liściastym. Jest to Osia Góra – miejsce tradycyjnego chrztu fryców flisackich. Nazwa góry pochodzi od rzeki Ozy, wpadającej w tym miejscu do Wisły. Aby tradycji stało się zadość, retman Wincenty Pityński chrzci nas kolejno, polewając obficie wodą wiślaną i wypowiadając słowa „chrzczę Ciebie na flisaka”. Ceremonię chrztu flisackiego uwieczniamy serią zdjęć. Upał, brak przeszkód w płynięciu i chrzest usypia nas nieco, wskutek czego osadzamy tratwę na mieliźnie. Obserwujemy tutaj drugi wypadek płynięcia Wisły „w górę”. Część nurtu rzeki skręcała tak gwałtownie przed wyspą, że płynęła w górę rzeki. Ta właśnie część osadziła nas na mieliźnie. Solidarnie wszyscy wchodzimy do wody i po rozpięciu środkowych kanatów spychamy tratwę na głębszą wodę. Przed nami Nowe, położone na wzgórzach, które znów pojawiły się na lewym brzegu. Miasto pięknie się prezentuje z Wisły, ograniczone z dwóch stron bryłami kościoła i zamku. Śrykujemy na środku rzeki i udajemy się do miasta, w celu zaprowiantowania tratwy. Wracamy z zakupami i płyniemy dalej. Zaczyna padać deszcz, na szczęście przelotny, tak, że nie przerywamy płynięcia. Na lewym brzegu widoki do złudzenia przypominające krajobraz bieszczadzki. Wysokie wzgórza poprzecinane dolinami, porośnięte są sosną i świerkiem, z domieszką drzew liściastych. W miejscowości Opaleń mijamy filary bez mostu. Most ten zbudowany przez Niemców, kilka lat przed wojną został przez rząd polski zdemontowany i przeniesiony do Torunia. Płyniemy spokojnie, lawirując między kolejno mijanymi wyspami piaszczystymi. Na obiad jemy zupę jarzynową. Wzgórza na lewym brzegu znikają. Krajobraz na obydwu brzegach staje się płaski. Na kolację jemy resztę zupy, konserwy mięsne i kielbasę z różną. Około godziny 21⁰⁰ śrykujemy tratwę za potężną mierzącą kilka hektarów, piaszczystą wyspą.

20.07.1993 (wtorek) – 24 dzień spływu

Wstajemy o 4³⁰. Jest lekka mgła, niebo zachmurzone, ale nie pada. Po odśpiewaniu „Kiedy ranne...” przed nami z mgły wyłania się Gniew, położony na wysokich wzgórzach, które znów pojawiły się na lewym brzegu. W widoku miasta dominuje sylwetka zamku, zbudowanego na planie czworokąta. Załogi zamków w Świeciu, Nowym i Gniewie mogły przesyłać sobie informacje sygnałami świetlnymi. Obok zamku pałacyk „Marysieńka” zbudowany przez króla Jana III Sobieskiego. Na śniadanie Franek podaje makaron z wołowiną. Płyniemy spokojnie, jest ciepło i bezwietrznie. W miejscowości Piekło śrykujemy tratwę i dokonujemy zakupów

artykułów żywnościowych. Tutaj Wisła część swojej wody wlewa do Nogatu. Pogoda się pogarsza, zaczyna padać deszcz. Kończymy gotować obiad, który zjadamy w budach, bo deszcz coraz większy. Na obiad ten składały się żeberka, ziemniaki i kapusta zasmażana. Tratwa w tym czasie stoi. Deszcz maleje, podejmujemy decyzję o dalszym płynięciu. Zmieniając się przy drygawkach płyniemy w deszczu przez około 1 godzinę. Rozjaśnia się i przestaje padać. Prawy brzeg Wisły płaski i monotony, lewy natomiast urozmaicony pasem wzgórz, które to przybliżają się, bądź oddalają się od rzeki. Wzgórza te pokryte są lasami liściastymi. Mijamy miejscowość Gorzędziej, pięknie położoną nad samym brzegiem, na wysokiej, pokrytej tratwą skarpie. Za tą miejscowością, ta piękna skarpa poprzecinana jarami i wąwozami ciągnie się dłuższy czas. Przed nami Tczew. Witają nas na wodzie osady wioślarskie z miejscowego klubu. Jest to czwórka ze sternikiem i dwie jedynki. Proponujemy im regaty, ale nie zgadzają się, bo płyną w górę rzeki.

Wpływamy do miasta, budząc zainteresowanie licznie zgromadzonych na bulwarze mieszkańców miasta. Oczekuje nas tutaj dziennikarz tygodnika „Miliarder”- Sławomir Rummel, który chce z nami płynąć dalej. Wychodzimy na brzeg i zwiedzamy miasto. Gościmy na tratwie ekipę telewizji gdańskiej. Wypływamy na środek rzeki i za mostem kolejowym śrykujemy tratwę na noc. Na kolację zjadamy kaszę z wołowiną w sosie własnym.

21.07.1993 (środa) – 25 dzień spływu

Wstajemy później niż zwykle, bo o godzinie 7⁰⁰. Czekamy na fotoreportera z „Miliardera”. O godzinie 9⁰⁰ wchodzi na tratwę Jerzy Wujczak, który na zdjęciach będzie utrwał naszą pływankę. Na śniadanie zjadamy chleb i konserwy mięsne. Jest ciepło, świeci słońce, wieje boczny wiatr, który utrudnia nam płynięcie. Krajobraz monotony, ograniczony wysokimi wałami po obydwu brzegach. Wszak płyniemy przez Żuławy, jedyną część kraju położoną poniżej poziomu morza. Na obiad Franek Kopyto przyrządził ziemniaki, kaszanke i kapustę. Wiatr staje się coraz mocniejszy, spycha nas do prawego brzegu. Około 14³⁰ wiatr staje się tak silny, że stajemy przy brzegu. Nie można obalić tratwy z powodu zbyt głębokiej wody. Około 18⁰⁰, gdy wiatr nieco zelżał próbujemy płynąć dalej. Płynięcie to polega głównie na odpychaniu się od brzegu i kolejno mijanych główek. Podjeżdża do nas ekipa telewizji gdańskiej i z brzegu filmuje nas. Jurkowi Wujczakowi podczas odpychania łamie się tyczka, w skutek czego wpada

on do wody. Na szczęście nic złego mu się nie stało. Jeszcze raz jesteśmy filmowani przez ekipę telewizji gdańskiej, tym razem z mostu w Kieźmarku. Śrętkujemy tratwę przy brzegu i około godziny 22⁰⁰ idziemy spać.

22.07.1993 (czwartek) – 26 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 4¹⁰. Pogoda jest brzydka. Niebo jest zachmurzone, wieje wiatr. Próbujemy kilka razy obalić tratwę, co nam się nie udaje z powodu głębokiej wody. Odpychamy tratwę od brzegu i płyniemy tak około 2 kilometrów w kierunku śluzy w Przegalinie. Część załogi udaje się kryptą na drugi brzeg, do portu w Przegalinie, w celu wynajęcia holownika. Około godziny 10⁰⁰ podpływa holownik „Jurand” i wpływamy do śluzy. Zamykają się za nami potężne stalowe wrota i obniżamy się około 10 centymetrów. Śluza w Przegalinie oddziela Wisłę – rzekę od dawnego jej koryta, obecnie noszącego nazwę Martwa Wisła. Od Przegaliny Wisła płynie do morza sztucznym, wykopanym pod koniec XIX wieku korytem. „Jurand” wyciąga nas ze śluzy i zostawia przy brzegu. Czekamy na innych holownik, który pociągnie nas do Gdańska. „Martwa Wisła”, jak sama nazwa wskazuje nie ma nurtu i musimy być holowani. Podczas oczekiwania jesteśmy kontrolowani przez szefów Inspektoratu Gospodarki Wodnej i Żeglugi Śródlądowej w Gdańsku. Jest to pierwsza i ostatnia kontrola w czasie naszej pływanki. Po załatwieniu formalności Zdzich Nikolas oddaje wystrzał z beczki na cześć kontrolerów. O godzinie 13³⁰ bierze nas na hol pchacz „Łoś” i płyniemy Martwą Wisłą do Gdańska. Pogoda niezbyt ładna, niebo zachmurzone, wieje wiatr. Brzegi Martwej Wisły porośnięte trzciną i inną roślinnością wodną. Jest to teraz jedynie szlak wodny, skracający drogę z Gdańska do miast położonych w górnej części Wisły. Mijamy potężną hałdę biało-żółtego koloru położoną na lewym brzegu. Mieszkańcy tych okolic nazywają ją Białą Górą. Jest to wysypisko odpadów z fabryki nawozów fosforowych. Przy lewym brzegu częściowo zatopiony wrak statku. Zbliżamy się do mostu pontonowego. Część mostu spływa na bok, otwierając nam przejście, przez które przepływamy. Na moście licznie zgromadzeni przechodnie i kierowcy samochodów pozdrawiający nas rękami. Wśród nich poznajemy żonę jednego z nas – Marię Łabęcką, która przyjechała tu z synem i kuzynką. Po prawej stronie odnoga Martwej Wisły, przez którą widać morze. Martwa Wisła staje się coraz węższa, zabudowana po obydwu stronach z licznymi kutrami rybackimi, jachtami, motorówkami cumującymi przy brzegach. Na lewym brzegu rafineria gdańska z ogromnymi zbiornikami, płataniną rur instalacji i dymiącymi kominami. Zwraca uwagę duża ilość wraków statków

i samochodów.

Przeplewamy pod wąskim mostem kolejowo-drogowym. Wpływamy do portu z wielką ilością statków różnych wielkości, żurawi portowych i kontenerów. Na slipach jednostki remontowane, bądź złomowane. Stożące przy nabrzeżach stoczni jachtowej im. Józefa Conrada Korzeniowskiego jachty i statki, pozdrawiają nas buczeniem syren i wystrzałami raketnic. Pojawiają się ogromne, transoceaniczne statki, także obcy bander. Przeplewamy obok Stoczni Gdańskiej, w doku której buduje się potężny statek. Skręcamy w lewo zostawiając port za sobą. Mijamy zacumowany przy nabrzeżu ogromny dźwig okrętowy „Rak”. Wpływamy do starej części miasta z wąskimi, wysokimi kamienicami i zabytkowymi kościołami. Po lewej stronie mijamy pierwszy statek wybudowany w Polsce powojennej – „Sołdek”. Obecnie jest to statek-muzeum i udostępniony jest do zwiedzania. Z tyłu za nim okazały budynek Centralnego Muzeum Morskiego. Naprzeciwko muzeum słynny gdański Żuraw. Na nabrzeżach mnóstwo ludzi przygląda się nam i rozmawia na temat naszego spływu. Cumujemy tratwę obok Centralnego Muzeum Morskiego, naprzeciwko Żurawia, przy nabrzeżu zbudowanym w 1854 roku. Jest godzina 17⁰⁰. Nasz 26-dniowy rejs dobiegł końca. Udajemy się na zwiedzanie starej części miasta. Jemy schabowego z kapustą w restauracji „Heweliusz”. Wracamy na tratwę i wypijamy szampana na cześć szczęśliwego zakończenia spływu.

23.07.1993 (piątek) – 27 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 6³⁰. Zjadamy ostatnie śniadanie na tratwie. Na nabrzeżu pojawia się znajomy samochód. Jest to furgon Mieczysława Cudziły, którym z Ulanowa przyjechali Paweł Chmielowski i Jurek Wołoszyn. Jurek zostanie tutaj - u rodziny, a Paweł zabierze nas z powrotem do Ulanowa. Przyjeżdża ekipa telewizji gdańskiej, która kręci o nas reportaż, wypytując nas o wrażenia z rejsu. Jest fotoreporter z PAP, pan Kraszewski, który wykonuje serię zdjęć na potrzeby swojej agencji. Na nabrzeżu wielu mieszkańców miasta i turystów, głównie niemieckich. Stożąc na tratwie jesteśmy pod obstrzałem aparatów fotograficznych i kamer video. Przez dłuższy czas obok tratwy krąży luksusowy jacht z banderą Finlandii. Są także rodacy ulanowscy: pan Roman Rzepiela i pan Dionizy Tapper. Prowadzimy rozmowy z ewentualnymi kupcami drewna z którego zbudowana jest tratwa. Na tratwę wchodzi dyrektor Muzeum Wisły w Tczewie i kupuje niektóre elementy tratwy tj. skrzynię, drygawkę i budę - retmankę. W międzyczasie udzielamy wywiadów dziennikarzom lokalnych gazet gdańskich.

Całą załogą wychodzimy do miasta, gdzie zwiedzamy jego starą część. Robimy pamiątkowe zdjęcia przy pomniku Neptuna. Kupujemy bursztynowe upominki dla naszych bliskich i wota do ołtarza świętej Barbary w ulanowskim kościele. Wśród upominków nie zabraknie sławnej wódki gdańskiej „Goldwasser”.

Po obejrzeniu pięknej gdańskiej Starówki, przepływamy promem przez Motławę i wracamy na nabrzeże. Po raz ostatni wchodzimy na tratwę. Jest ona teraz smutna i opuszczona. Nie ma już na niej naszej odzieży i elementów wyposażenia kuchni. Z wygaszonego paleniska nie wzbija się już ku niebu dym, znak ludzkiej obecności. Obchodzimy ją po raz ostatni dookoła, żegnamy się z nią, równocześnie jej dziękując za wspaniały rejs, za Ulanów, Warszawę i Gdańsk. To dzięki niej w całej Polsce można było usłyszeć o Ulanowie i jego pięknych flisackich tradycjach. Wychodzimy na nabrzeże. Ostatni rzut oka na tratwę, Motławę i gdański Żuraw. Żegnają nas ulanowscy rodacy – pan Roman Rzepiela i Dionizy Tapper. Sadowimy się w mikrobusie i Paweł Chmielowski wiezie nas do Ulanowa. Jest godzina 17⁰⁰. W znakomitych humorach, poprawionych kieliszkiem „Goldwassera” jeszcze raz komentujemy cały rejs wspominając jego radości i smutki.

Około godziny 19⁰⁰ zatrzymujemy się w zajeździe „Żuławski” w Kmiecinie w województwie Elbląskim. Gdy załoga usiadła za stołami, ja z Markiem Okońskim udałem się do bufetu w celu zamówienia obiadu. Zamówiłem dla wszystkich po kotlecie schabowym z ziemniakami i bukietem jarzyn, oraz głośno zastanawiałem się nad wyborem zupy. Moje głośne rozważania przerywa kelnerka mówiąc, że sam schabowy wystarczy, bo jego waga wynosi pół kilograma. Po chwili kelnerka przyniosła do stołu duży półmisek z potężnym kotлетem. Ziemniaki i jarzyny były pod spodem. Z takim schabowym nie mógł sobie poradzić nawet Rysiek Bryła, który w czasie całego rejsu cieszył się znakomitym apetytem. Zgodnie orzekliśmy, że tak ogromnego kotleta nie zdarzało nam się jeszcze jeść. Posileni udaliśmy się w dalszą drogę przez Mławę, Płońsk, Warszawę, Radom, Hżę, Opatów, Sandomierz, by o godzinie 5⁰⁰ dojechać do Ulanowa. Nasz rejs dobiegł końca, znaleźliśmy się w miejscu jego rozpoczęcia. Przepływając tratwą 750 kilometrów z Ulanowa do Gdańska, udowodniliśmy, że duch flisacki w Ulanowie nie zaginał, że są godni następcy sławnych ulanowskich retmanów. Doświadczenie i wiadomości naszego retmana Wincentego Pityńskiego, połączone z ofiarną pracą całej załogi ujarzmiło dwie wielkie rzeki, które na swych grzbietach doniosły nas i naszą tratwę do Gdańska. Paleni słońcem i moczeni deszczem, głodni albo przejedzeni, pokonaliśmy głębiny, których nie mogły zmierzyć nasze najdłuższe śryki i rozległe mielizny, z których trzeba było spychać tratwę drągami. Zwyciężyliśmy i wiatr, który był naszym największym przeciwnikiem.

Pokonaliśmy wszystkie żywioły, które stanęły na naszej drodze. Zatrzymaliśmy się tylko przed zaporą wymyśloną i zbudowaną przez człowieka, ale i ją pokonaliśmy przy dużym nakładzie sił. W czasie 26-dniowego rejsu przepłynęliśmy pod 37 mostami w 11 województwach. Zwiedziliśmy wiele pięknych miast, podziwialiśmy wspaniałe wiślane widoki, których nigdy nie widzielibyśmy, gdyby nie tratwa.

Dla przypomnienia podaję skład załogi, która dopłynęła tratwą do Gdańska:

1. Wincenty Pityński – retman
2. Mieczysław Pityński
3. Zdzisław Nikolas
4. Andrzej Bąk
5. Marek Okoński
6. Ryszard Bryła
7. Franciszek Kopyto
8. Mieczysław Łabęcki
9. Stanisław Zwolak

W niedzielę 3 sierpnia 1993 roku cała załoga uczestniczyła we mszy świętej w ulanowskim kościele, podczas której ofiarowuje sznur bursztynowych koralii, jako wotum dziękczynne do ołtarza świętej Barbary – patronki flisaków. Jeśli chodzi o moje osobiste uwagi, to trochę inaczej wyobrażałem sobie pływanek na tratwie. Spław drewna nie jest taki prosty jak to sobie wyobrażałem. Patrzący na brzegu - myśli – takim to dobrze - siedzą sobie na tratwie, nic nie robią, a woda sama ich niesie. W rzeczywistości jest to ciężka praca, wymagająca ciągłej uwagi. Tratwa to nie łódka, czy kajak, który można w każdej chwili zatrzymać, cofnąć się, spróbować przepłynąć przy drugim brzegu. Jest to potężny, beznapędowy statek wodny o wadze kilkudziesięciu ton, o bardzo ograniczonej możliwości sterowania. Ta ograniczona możliwość sterowania zmusza retmana do ciągłej precyzji w sposobie prowadzenia tratwy, a załogę do błyskawicznego i ścisłego wykonywania jego poleceń. Przygotowania do ominięcia przeszkody wodnej (np. filar mostu) rozpoczyna się kilkaset metrów przed nią i każdy błąd może doprowadzić do rozbicia tratwy. Bardzo duże znacznie ma pogoda. Śliskie, okrągłe belki, po których trzeba chodzić, mokra odzież, której nie ma gdzie wysuszyć, ognisko, której daje więcej dymu niż ognia – to tylko niektóre z mniej przyjemnych stron płynięcia tratwą. Ale, aby poznać całą specyfikę spławu drewna musi być słońce i deszcz, próżnowanie i ciężka praca. Spływ tratwą wciąga jak magnes i wyrażam przekonanie, że gdy odbędzie się następny spływ, nikt ze starej załogi nie odmówi wzięcia w nim udziału.

STANISŁAW ZWOLAK



KRONIKA SPŁYWU TRATWĄ PO ODRZE –
SZLAKAMI PIASTÓW -
BIELINEK – SZCZECIN 1998



SIERPIEŃ 1998

4-5. 08. 1998 (wtorek/środa) – 1-2 dzień spływu

Wyjeżdżamy z Ulanowa o godzinie 17⁰⁰ żegnani przez nasze rodziny i znajomych. Przed ostatecznym opuszczeniem miasta, wstępujemy do kościoła parafialnego, skąd po krótkiej modlitwie jedziemy dwoma samochodami do Rzeszowa.

Skład załogi:

1. Wincenty Pityński – retman
2. Mieczysław Pityński
3. Zdzisław Nikolas
4. Zenon Dąbek
5. Mieczysław Łabęcki
6. Ryszard Bryła
7. Stanisław Zwolak

W Rzeszowie jesteśmy o godzinie 18⁰⁰ - po wykupieniu biletów o godzinie 19⁰² wsiadamy do wagonu-kuszetki pociągu Przemyśl – Szczecin, by o godzinie 8³⁰ następnego dnia wysiąść na stacji Szczecin Główny. Tam oczekują na nas dwa samochody, którymi po załatwieniu drobnych spraw w Szczecinie, jedziemy do miejscowości Bielinek k/Cedyni. Tam z kolei czeka na nas koszara, czyli statek-hotel „Jadzia”. Ażeby nam nie było smutno towarzyszy nam cała flotylla różnego rodzaju pchaczy, holowników i barek. Statki te zabierają stąd żwir i piasek, albowiem jest to miejsce urobku Szczecińskiej Kopalni Surowców Mineralnych. Znosimy nasze rzeczy na statek i zajmujemy swoje kajuty. Każdy z nas ma oddzielną kajutę z czystą pościelą. Na statku jest kuchnia elektryczna, lodówka, świetlica z telewizorem, umywalnie i natryski. Za oknem kajuty rozciąga się piękny krajobraz szeroko rozlanej Odry z oddalonymi, już na niemieckim brzegu, wzgórzami. Po zamustrowaniu się na pokładzie koszarki, wszyscy jedziemy samochodem do Cedyni na zakupy. Zwiedzamy przy okazji piękne, stare miasteczko położone na wzgórzu i górujące nad niziną ciągnącą się w stronę Odry. To tutaj w 972 roku polski książę Mieszko I, ze swoim bratem Ściborem, stoczył zwycięską bitwę z wojskami margrabiego Hodona w obronie tworzącego się państwa polskiego. Po zrobieniu zakupów udajemy się na górę Ścibora, a przy pomniku upamiętniającym bitwę robimy pamiątkowe zdjęcia.

Po powrocie z Cedyni udajemy się na bindugę, oddaloną od koszarki o około 300 metrów, gdzie znajduje się 91 sztuk sosnowych bali, z których to powstanie nasza tratwa.

Wykonujemy tam pracę przygotowawczą polegającą głównie na okorowaniu pni, z których powstaną skrzynie i drygawki. Należy podkreślić fachowe i umiejętne złożenie kolców drewna przez pracowników leśnictwa Bielinek. Lasy Państwowe – Nadleśnictwo Chojna jest sponsorem naszej wyprawy, poprzez zabezpieczenie drewna i materiałów pomocniczych. Wieczorem przyjeżdża do nas ekipa Telewizji Polskiej – Oddział Szczecin, która będzie kręcić film o tratwie i ulanowskich flisakach. Po zjedzeniu kolacji udajemy się na spoczynek. Jutro czeka nas właściwa praca przy budowaniu tratwy.

06.08.1998 (czwartek) – 3 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 5³⁰. Dzień jest pogodny, świeci słońce. Udajemy się na bindugę gdzie kończymy prace związaną z obsadzaniem bosaków i robieniem drążków. Zrzucamy także dwa kloce do wody. Początek jest zrobiony. Dwie sztuki już pływają. Drewno bardzo dobrze trzyma się na wodzie, cechuje się dużą wypornością. O godzinie 7³⁰ wracamy do koszar i zjadamy barszcz flisacki przygotowany przez Zenona Dąbka. Po śniadaniu o godzinie 8³⁰ wracamy na bindugę. Pracy jest dużo, bo 15 sierpnia musimy wpłynąć do Szczecina. Do wykonania mamy całą tratwę i jej oprzyrządowanie. Część załogi – Ryszard Bryła, Mieczysław Pityński i Stanisław Zwolak spychają skarpy do wody. Na dole, Wincenty Pityński, Zdzisław Nikolas i Mieczysław Łabęcki formują z kłoców poszczególne tafle i łączą je szorcami. Równocześnie trwają prace przy robieniu skrzyń, drygawek i tub. W pracach tych wydatnie pomaga nam pracownik leśnictwa Bielinek. Wszystkie te prace są filmowane przez ekipę TVP – Szczecin, która towarzyszy nam cały dzień. O godz. 13⁰⁰ wracamy na koszarę, gdzie jemy kapuśniak produkcji Zenona Dąbka. Po godzinnej przerwie wracamy na bindugę i pracujemy do godziny 18³⁰. W tym dniu zrzucamy do wody 65 kłoców drewna. Na wodzie pływa już kompletne przedcole. W znacznym stopniu jest uformowany col, przedgłowie i głowa. Skrzynie, drygawki i tuby wymagają niewielkiej obróbki.

07.08.1998 (piątek) – 4 dzień spływu

Pierwszy z nas wstaje retman Witek Pityński i idzie na bindugę sprawdzić, co jest z tratwą. Kiedy wraca, zjadamy śniadanie, na które składa się jajecznica na kiełbasie i wychodzimy na bindugę. Dzień jest pogodny, świeci słońce. Zrzucamy pozostałych

26 kłoców do wody i formujemy ostatecznie cztery tafle. Umacniamy je szorcami. Wizytę na bindudze składają nam dyrektorzy Nadleśnictwa Chojna. Uzgadniamy z nimi dostawę materiałów pomocniczych (deski, słoma). Wracamy na obiad, który znów przygotował pan Dąbek, tym razem są to klopsy w sosie, ziemniaki i surówka. Po krótkiej, poobiedniej sjeście wracamy na bindugę. Tam kończymy przybijanie szorców i spinamy kanatami poszczególne tafle. Od tej pory tratwa stanowi całość, albowiem wcześniej była rozdzielona. Dwie połowy stały od siebie w odległości około 70 metrów. O godzinie 17⁰⁰ wracamy na koszarę i zjadamy kolację. Chcąc sprawdzić swoje umiejętności w pływaniu łódką, która ma wiosła osadzone na dulkach, wybrałem się na dwukilometrową przejażdżkę. Po mnie przejażdżkę urządza sobie Mieczysław Łabęcki.

08.08.1998 (sobota) – 5 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 6⁰⁰. Dzień jest słoneczny, bezwietrzny. Barszcz flisacki jest już gotowy, bo Zenon Dąbek i Ryszard Bryła wstali wcześniej i przygotowali go. Zjadamy więc śniadanie i o godzinie 7⁰⁰ wychodzimy na bindugę. Wykonujemy dalsze prace związane z wyposażeniem tratwy. Witkowi Pityńskiemu z tyczki zsuwa się bosak i tonie na głębokości 3 metrów. Zdzisław Nikolas podejmuje się go odnaleźć. Nurkuje i po chwili pojawia się z bosakiem w ręku. Jest to pierwsza kąpiel flisaka ulanowskiego w Odrze. Niedługo po tym, wraz z kłocem wstawianym w tafle do wody wpada Mieczysław Łabęcki, mocząc nogi powyżej kolan. O godzinie 10³⁰ na bindugę przychodzi Marek Okoński, który dotarł do nas dopiero teraz, nie mogąc wcześniej uzyskać urlopu. Wobec powyższego przerywamy pracę i wracamy na koszarę, gdzie spożywamy dary przywiezione przez Marka. Ponieważ dzień jest bardzo upalny, nie wracamy na bindugę i jemy obiad, na który składają się klopsy, ziemniaki i surówka. Na bindugę wracamy o godzinie 18⁰⁰ kiedy temperatura powietrza spada. Wykonujemy tam konstrukcję bud flisackich z desek dostarczonych przez leśniczego z Bielinka. Po powrocie z bindugi Zenon Dąbek serwuje kiełbasę z rożna, którą spożywamy na stojącej obok barce.

09.08.1998 (niedziela) – 6 dzień spływu

Po śniadaniu, o godzinie 9⁰⁰ idziemy pieszo około 2,5 kilometra do miejscowości Piasek, gdzie w miejscowym sklepie dokonujemy zakupów. Wracamy około godziny 12⁰⁰. Po obiedzie, na który Zenon Dąbek zaserwował pierś indycze z ziemniakami i surówką, każdy organizuje sobie czas według własnego upodobania. Witek i Mieczysław Pityńscy grają w karty. Zdzisław Nikolas łowi ryby w podbierak i na wędkę. Ja, Ryszard Bryła i Marek Okoński płyniemy łódką na Odrę, gdzie obserwujemy nurt rzeki i niemiecki brzeg. Wykonujemy tam pamiątkowe zdjęcia m.in. przy słupach granicznych.

10.08.1998 (poniedziałek) – 7 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 6³⁰. Po zjedzeniu barszczu flisackiego udajemy się na bindugę, gdzie kontynuujemy prace przy obijaniu słomą bud flisackich i oprzyrządowaniu tratwy. Prace te są filmowane przez ekipę Telewizji Polskiej - Oddział Szczecin. O godzinie 11⁰⁰ przyjeżdżają do nas goście. Są to dyrektorzy Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej i Inspektoratu Żeglugi Śródlądowej. Omawiamy z nimi warunki naszego flisu. Po obiedzie wracamy na bindugę. Montujemy drygawki, skrzynie i palenisko. Do wykonania jest wiele drobnych prac, a czasu niewiele. O godzinie 19³⁰ na bindugę przyjeżdża opiekunka naszego flisu, pani dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych Nr. 2 w Szczecinie – dr Elżbieta Marszałek. Jako matka chrzestna m/s „Powstaniec Listopadowy” i przewodnicząca koła matek chrzestnych zaproponowała ochrzcenie naszej tratwy. Między wysoką skarpią, a tratwą rozpinam stalową linę. Pani Marszałek wypowiada słowa: „Płyn Odrą do Szczecina. Sław imię ulanowskich flisaków. Nadaję Ci imię „tratwa flisaków z Ulanowa”. Po linie zsuwa się butelka szampana i uderza w pierwszy pień tratwy. W tym momencie, stojący na dole retman Wincenty Pityński uderza ją siekierką. Pienisty szampan oblewa tratwę. Następną butelkę szampana wypijamy na bindudze przy wspólnym ognisku. Długo w noc ciągną się opowieści o flisaczym życiu, przeplatane flisackimi piosenkami. Żegnamy panią dyrektor Marszałek dziękując za wizytę i wracamy do koszarki.

11.08.1998 (wtorek) – 8 dzień spływu

Po tradycyjnym barszczu flisackim udajemy się na tratwę. Jak codziennie odśpiewujemy pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”. Do tratwy podpływa „Lidka” z kapitanem Zygfrydem Napierskim. Tratwa musi być wyciągnięta statkiem na Odrę, albowiem do tej pory stała w wyrobisku żwirowym o głębokości 20-25 metrów. Jest godzina 9⁰⁰ i rozpoczyna się nasz kolejny flis. Za nami płynie koszarka z kapitanem żeglugi śródlądowej – Grzegorzem Dobrowolskim. Koszarka pchana jest przez pchacz „Łoś”. Po przepłynięciu około 0,5 km wpływamy na Odrę. Jest to 678 km biegu rzeki. Odra ma około 250-300 metrów szerokości i liczne główki zarówno po polskiej, jak i po niemieckiej stronie. Głębokość wody wynosi 6-7 metrów. Puszczamy hol i płyniemy samodzielnie. Odra jest rzeką o wiele wolniejszą od Wisły. Jest ciepło, ale wieje dość mocno, zmienny wiatr, który utrudnia nam pływankę. W pewnym momencie col tratwy zawiesza się na główce, w skutek czego głowa uderza w niemiecki brzeg. Zdzisław Nikolas i Mieczysław Pityński stawiają nogi na niemieckiej ziemi i spychają głowę tratwy. Po przepłynięciu 18 kilometrów zatrzymujemy się w Ognicy. Udajemy się do wioski na zakupy. Po otrzymaniu zgody od właścicielki baru odśpiewujemy po cichutku” wiązanek pieśni flisackich. Wieczorem nad tratwą przechodzi potężną burza połączona z częstymi wyładowaniami atmosferycznymi, która jednak nie wyrządza jej żadnej krzywdy.

12.08.1998 (środa) – 9 dzień spływu

Dzisiaj mamy do przyplłynięcia tylko 6 kilometrów i dlatego wyruszamy o godzinie 9⁰⁰. Dzień jest pogodny, świeci słońce. Odra jest żeglowna na całej szerokości. Zarówno w górę, jak i dół często płyną zestawy barek. Zarówno załogi pchaczy jak i przybrzeżni mieszkańcy ciekawie przyglądają się naszej tratwie, pozdrawiając nas buceniem syren i machaniem rękami. Płynięcie nie sprawia nam większych trudności. Jedynym problemem jest duża głębokość rzeki, zmuszająca nas do puszczania coraz dłuższych i cięższych sryków. Około południa przybijamy do nabrzeża Widuchowej. Wychodzimy do wioski będącej siedzibą gminy. Robimy zakupy i odwiedzamy miejscową restaurację „Soplica”, gdzie chóralnie odśpiewujemy pieśni flisackie, przy aplauzie licznie zgromadzonych klientów. Wieczorem na tratwę przybywa wójt gminy Widuchowa, który wręcza nam okolicznościowe upominki. Kierownik odcinka rzeki obdarowuje nas rybami w ilości około 20 kilogramów, które smażymy i jemy na kolację.

13.08.1998 (czwartek) – 10 dzień spływu

Wyływamy o godzinie 8³⁰, żegnani przez licznie zgromadzonych na brzegu mieszkańców Widuchowej. Retman Wincenty Pityński decyduje się na samodzielne wypłynięcie na rzekę, pomimo, że niżej tratwy stoją rozciągnięte na szerokość około 80 metrów sieci rybackie. Wiedza i doświadczenie retmana oraz wprawa załogi sprawia, że w niedługim czasie znajdujemy się na środku rzeki. Do przepłynięcia mamy dzisiaj 18 kilometrów. Miejsce dzisiejszego postoju to Gryfino. Dzień jest pogodny, świeci słońce, choć wieje dość mocny wiatr. Płyne się nam dosyć spokojnie, albowiem na Odrze nie ma żadnych mielizn, konarów i wysp jak na Wiśle. W dniu dzisiejszym, wraz z nami płynie ekipa Telewizji Polskiej – Oddział Szczecin, która filmuje naszą flisacką pracę. Około godziny 15⁰⁰ przepływamy pod mostem w Gryfinie i cumujemy tratwę przy nabrzeżu. Niedługo po nas do nabrzeża, obok tratwy cumuje flotylla spływu „Szlakiem Piastów”, który płynie z Wrocławia. Jest statek flagowy spływu „Tadeusz Kościuszko” z komandorem spływu, kapitanem żeglugi wielkiej – Włodzimierzem Grycnerem. Wśród licznych jednostek pływających rozpoznajemy znajomą sylwetkę statku „Radunia”. Statek ten holował nasze tratwy po stojących wodach Martwej Wisły podczas poprzednich flisów. Po chwili na jego pokładzie pojawia się kapitan żeglugi śródlądowej – Tomasz Przanowski, pozdrawiając nas głośnymi okrzykami. Przy nabrzeżu zrobiło się tłoczno i kolorowo. Obok naszej tratwy cumuje 26 jednostek pływających. Kapitan Grycner zaprasza całą załogę tratwy na statek „Kościuszko”, gdzie częstuje nas piwem i smażoną rybą. Na prośbę kapitana odśpiewujemy pieśni flisackie.

14.08.1998 (piątek) – 11 dzień spływu

O godzinie 8⁰⁰ na oczach zacumowanych jednostek wykonujemy manewr odbicia od nabrzeża. Statki, które wypływają później żegnają nas wyciem syren. Licznie zgromadzeni mieszkańcy miasta żegnają nas machaniem rękami. Dzisiaj mamy do przepłynięcia 18 kilometrów. Dzień jest pochmurny, wieje niezbyt mocny wiatr. Zaczyna padać deszcz, który wkrótce przechodzi. Przepływamy pod kolejnymi mostami. Podpływa do nas statek inspekcyjny Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej z kierownikiem Inspektoratu, panem Moryniem. Obok tratwy pływa statek „Czapla”, który jest oddelegowany do pomocy nam. Płyniemy w miarę spokojnie, albowiem wiatr się uspokaja. W oddali widać wysokie bloki mieszkalne Szczecina. Wpływamy do kanału

Przekop. Brzegi Odry jak i kanału są niskie, porośnięte trzciną i inną roślinnością wodną. Ilość różnego rodzaju jednostek pływających zwiększa się. Ich załogi ciekawie się nam przyglądają i pozdrawiają nas.

Wpływamy do przemysłowej części Szczecina. Około godziny 15⁰⁰ cumujemy tratwę obok bazy Przedsiębiorstwa Budownictwa Hydrotechnicznego, w której to bazie stoi nasza koszaraka. Cała baza wypełniona jest różnego rodzaju statkami. Są tutaj pchacze, holowniki, barki, pogłębiarki. Ponad nimi górują potężne sylwetki sześciu lodołamaczy. Jeden z nich, „Żbik” jest statkiem naszego kolegi, kapitana Grzegorza Dobrowolskiego, który kieruje z niego coroczną akcją łamania lodów na Odrze. Po zjedzeniu obiadu całą załogą wybieramy się na zakupy i zwiedzanie miasta.

15.08.1998 (sobota) – 12 dzień spływu

Po śniadaniu wypływamy o godzinie 9⁰⁰. „Lidka” z kapitanem Zygfrydem Napierskim wyciąga nas na Odrę, której wody są prawie stojące. Do Wałów Chrobrego, miejsca postoju tratwy mamy około 3 kilometrów. Po przepłynięciu pod dwoma niskimi i wąskimi mostami cumujemy tratwę przy prawym brzegu. Mosty te są tak niskie, że musimy demontować maszty, na których są umieszczone flagi: państwowa i miasta Ulanów. Długość przęsła wynosi około 10 metrów, także col tratwy ledwo mieści się między filarami. Czekamy na resztę flotylli, aby razem wpłynąć na centralne nabrzeże Szczecina - Wały Chrobrego. Zbliża się godzina 12⁰⁰. Płynie flagowy statek spływu Szlakami Piastów – „Tadeusz Kościuszko”. Wypływamy i my. Na kilkadziesiąt metrów przed nabrzeżem „Lidka” puszcza hol i w tradycyjny sposób, przy pomocy nurtu rzeki i drygawek przybijamy do nabrzeża. Ubrani jesteśmy w stroje wzorowane na strojach mieszczan ulanowskich z XVIII wieku. Cała uwaga tysięcy mieszczan i zaproszonych gości skupia się na nas. Nic dziwnego, albowiem różnego rodzaju statków w Szczecinie jest co niemiara, natomiast tratwa jest tutaj po raz pierwszy.

Tratwa składająca się z 91 bali sosnowych mierzy około 70 metrów i około 10 metrów szerokości. Wyposażona w trzy skrzynie, dwie drygawki, dwie budy flisackie i palące się ognisko z zawieszonymi nad nimi kociołkami jest największą jednostką pływającą we flotylli liczącej około 80 jednostek. Po wyjściu na nabrzeże jesteśmy witani przez wojewodę tarnobrzeskiego - pana Wiktora Stasiaka, burmistrza Ulanowa – Andrzeja Bąka i członków chóru ulanowskiego, który przyjechał do Szczecina. Pytaniom i odpowiedziom nie ma końca. Wszyscy chcą wiedzieć jak się nam płynęło Odrą i czym

różni się pływanka po dwóch największych rzekach Polski. Jesteśmy zaproszeni na estradę gdzie wita nas prezydent Szczecina - Bartłomiej Sochański, prezes Ligi Morskiej - Bronisław Komorowski i szefowa Komitetu organizacyjnego spływu - pani dyrektor Elżbieta Marszałek. Wręczamy prezydentowi miasta pień czarnego dębu z okolicznościową dedykacją. Władze miasta rewanżują się statuetką Neptuna, którą otrzymuje retman Wincenty Pityński. Na estradzie odgrywa się inscenizacja sprzedaży tratwy przez Żyda, w którego postać wcielił się Konrad Strycharczyk – aktor scen szczecińskich, rodak ulanowski. Całość tych uroczystości powitania, jak i przyplłynięcia tratwy jest „na żywo” transmitowana przez TVP - Oddział Szczecin. Zostajemy zaproszeni do zaimprovizowanego na nabrzeżu studia telewizyjnego, gdzie pod obstrzałem trzech kamer odpowiadamy na pytania prezenterów dotyczące dopiero co zakończonego flisu. Udajemy się do karczmy piwnej gdzie zostajemy poczęstowani piwem, żurkiem, drożdżówkami i coca-colą. Spotykamy wielu znajomych, których poznaliśmy na poprzednich flisach. Na estradę wychodzi chór ulanowski, który pod dyktando pana Stanisława Kwolka wykonuje wiązanek piosenek flisackich. Odwiedzamy zaprzyjaźnione podczas kolejnych flisów statki. Oglądamy paradę orkiestr dętych, z których nasze szczególne uznanie budzi młodzieżowa dziewczęca orkiestra dęta z Zespołu Szkół Ekonomicznych Nr. 2 w Szczecinie i orkiestra dęta z Bawarii.

Swoimi pięknymi strojami budzimy niemąłą sensację, w związku z czym pozujemy do dziesiątków zdjęć. O godzinie 21⁰⁰ na nabrzeżu rozpalamy ognisko. I znów szczecinianie mają okazję wysłuchać naszych chóralnych pieśni o flisaczym życiu. Podczas ogniska pani dyrektor Elżbieta Marszałek wręcza każdemu z nas certyfikat. Oprawiony w metalowe ramy, na czerpanym papierze - posiada następującą treść: „Wszem i wobec wiadomym się czyni, że pan (i tutaj nazwisko każdego z załogi) wszystkie zadania flisaka wykonał, Tratwę Ulanowską w Bielinie zbudował, po Odrze - Księżnej Rzek Polskich z bracią flisacką '98 Szlakami Piastów tratwę spławił, 15 sierpnia 1998 roku do Szczecina na Wały Chrobrego przybył, czym sobie ogromną wdzięczność i miłość mieszkańców Szczecina zdobył”. Zmęczeni, ale pełni wrażeń o godzinie 23⁰⁰ odpływamy „Lidką” do bazy PBH, gdzie śpimy na koszarce.

16.08.1998 (niedziela) – 13 dzień spływu

Po śniadaniu załoga w odświętnych strojach udaje się do kościoła p.w. Jana Chrzciciela gdzie uczestniczy we mszy świętej. Intencją mszy jest podziękowanie za szczęśliwe zakończenie flisu. Zbudowany w 1722 roku na planie krzyża, trójnawowy kościół był swego czasu jedyną katolicką świątynią w protestanckim Szczecinie. Mszę uświetnił chór ulanowski, którego głosy wspaniale niosły się w posiadającej bardzo dobrą akustykę świątyni. Po mszy i serii zbiorowych zdjęć udajemy się na dworzec morski, skąd statkiem „Odra Queen” wypływamy na półtoragodzinny rejs po porcie i zatoce. Po obiedzie jedziemy autokarem do bazy PBH, skąd zabieramy z koszarki nasze osobiste rzeczy. Po odpoczynku w hotelu, w którym zakwaterowany jest chór i po kolacji wyruszamy autokarem do Ulanowa, do którego przyjeżdżamy 17 sierpnia 1998 roku o godzinie 9⁰⁰.

Nie sposób po kolejnym flisie oprzeć się refleksjom. Odra jako druga pod względem wielkości rzeka Polski, na odcinku naszego spływu nie posiada żadnych wysp, mielizn, konarów, które to przeszkody sprawiały nam kłopoty na poprzednich flisach. Bardzo istotnym utrudnieniem we flisowaniu po Odrze jest duża głębokość (7-9 metrów), albowiem jej dno praktycznie stało się nieosiągalne dla naszych śryków, a tratwa bez śryków to jak samochód bez hamulca. Odra w dolnym swym odcinku cechuje się bardzo wolnym nurtem, który nie może nadać tratwie rozpędu, przez co wykonanie wszystkich manewrów jest utrudnione i spowolnione. Niewątpliwie flis do Szczecina był wielkim sukcesem propagandowym dla miasta Ulanów i ulanowskich flisaków. Przez cały czas towarzyszyło nam duże zainteresowanie mediów Pomorza Zachodniego. Gdziekolwiek tratwa się pojawiła budziła ogromną sensację, albowiem nawet najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby po Odrze pływały tratwy.

Chciałbym podkreślić dużą życzliwość ludzi zainteresowanych flisem, jak i przypadkowych widzów. Dziękuję dyrekcji nadleśnictwa Chojna, w tym szczególnie pracownikom leśnictwa Bielinek za wszechstronną pomoc w organizacji flisu. Dziękuję Okręgowej Dyrekcji Gospodarki Wodnej i Inspektorowi Żeglugi Śródlądowej w Szczecinie. Imiennie dziękuję szczególnie pani dyrektor Elżbiecie Marszałek – dyrektorowi Zespołu Szkół Ekonomicznych Nr 2 w Szczecinie, której tak spodobał się w 1997 roku w Gdańsku, że chciała nas i naszą tratwę zobaczyć w Szczecinie i dzięki której mieliśmy możliwość flisować po Odrze. Dziękuję panom kapitanom: żeglugi wielkiej – Włodzimierzowi Grycnerowi, żeglugi śródlądowej – Grzegorzowi Dobrowolskiemu i Zygfriedowi Napierskiemu.

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania tego pięknego flisu, który na zawsze pozostanie w pamięci załogi w skład której wchodził:

1. Wincenty Pityński – retman
2. Mieczysław Pityński
3. Zdzisław Nikolas
4. Zenon Dąbek
5. Mieczysław Łabęcki
6. Marek Okoński
7. Ryszard Bryła
8. Stanisław Zwolak

Na koniec tych wspomnień z flisu po Odrze, mając przepłynięte tratwę po polskich rzekach około 2300 kilometrów, nasuwa mi się stwierdzenie, że to tylko my – flisacy jesteśmy prawdziwymi wodniakami. Kiedy załogi różnego rodzaju statków mają do dyspozycji urządzenia kontrolno-pomiarowe i namiarowe, wygodne koje, kuchenki lodówki, natryski itp., my mamy flisacką budę, słomę na posłanie i barszcz flisacki ugotowany na ognisku. Jaką tratwę sobie zbudujemy, taką ją mamy. Wszystkie naprawy i remonty wykonujemy sami korzystając z materiałów i narzędzi, które mamy do dyspozycji. Pozostaliśmy jedynymi, którzy sami budują sobie statek wodny i dopływają nim tam gdzie zamierzają.

STANISŁAW ZWOLAK



KRONIKA FLISU PAPIESKIEGO ' 99

JAROSŁAW – ULANÓW –
SANDOMIERZ- ZAWICHOST

31.05.1999 – 14.06.1999



SIERPIEŃ 1999

31.05.1999 (poniedziałek) – 1 dzień spływu

Na zbiórkę wyznaczoną o godzinie 7⁰⁰ na bindudze nad Strugą przychodzą: Ryszard Bryła, Mieczysław Pityński, Mieczysław Łabęcki Wincenty Pityński i Stanisław Zwolak. Na samochód zakładu wodociągowego ładują swoje osobiste rzeczy i wyposażenie tratwy, które można załadować na Poloneza-Trucka. Stanisław Zwolak i Ryszard Bryła jadą jeszcze samochodem po garnki flisackie i gwoździe. Około godziny 11³⁰ jedziemy jeszcze do domu Witka Pityńskiego, gdzie ładujemy jego rzeczy i liny, po czym jedziemy do Jarosławia, albowiem tam znajduje się drewno, z którego mamy zadanie zbudować tratwę. Około godziny 13⁰⁰ wjeżdżamy pod most na Sanie w Jarosławiu. Ogarnia nas czarna rozpacz. Kloce sosnowe złożone są w najgorszy z możliwych sposobów. Leżą one prostopadle do nurtu rzeki w odległości około 20 metrów od wody. Dodatkowo między kłocami, a wodą znajduje się filar mostu. Nie możliwością jest zrzućenie do wody tak ułożonych kłoców i w tak krótkim czasie zbudowanie tratwy. Ryszard Bryła i Stanisław Zwolak samochodem udają się do miasta gdzie dokonują zakupów żywności. Po krótkim posiłku składającym się z chleba i kiełbasy przystępujemy do wykonywania prac pomocniczych. Cały czas przygnębia nas fakt tak ułożonych kłoców. Obok nas przejeżdża ciągnik z przypiętą kosiarką rotacyjną. Mieczysław Pityński zatrzymuje go i rozmawia z kierowcą. Po chwili wraca i ku naszemu zdziwieniu oznajmia że kierowca pojechał do domu odczepić kosiarkę, wziąć linę i przyjedzie tu ściągać kloce. Głośno wyrażamy nasze wątpliwości, czy aby to prawda. W międzyczasie samochodem ciężarowym przyjeżdża Mieczysław Łabęcki i przywozi szorce potrzebne do zbudowania tratwy. Faktycznie po kilkunastu minutach przyjeżdża ciągnik. Nasza radość jest ogromna. Bez ciągnika nie byłoby szans na zbudowanie tratwy. Dzielimy się robotą. Jedni przypinają linę do kłoców, drudzy ją odpinają i spychają kloce do wody. Binduga jest ciężka. Teren jest piaszczysty, niezbyt wysoki. Ciężkie kloce ryją w piachu, nie dają się zepchnąć do wody. Głośno wspominamy wspaniałe przygotowaną bindugę nad Odrą w ubiegłym roku. Pomimo tych trudności praca powoli posuwa się naprzód. Naszym wysiłkom, popijając piwo przygląda się grupa mieszkańców Jarosławia. Jeden z nich bierze drąg i pomaga nam spychać kloce. Przyłączają się następni. Teraz idzie znacznie szybciej. Poszczególne kloce pływają na wodzie, która w tym miejscu nie jest zbyt szybka i ma około 1,5 metra głębokości. Trudno w to uwierzyć, ale w tym dniu zrzucamy około 40 kłoców, tj. 2/3 całości. Połapane szorcami przez Witka Pityńskiego tworzą namiastkę przyszłej tratwy.

Przyjeżdża Marek Okoński, a wraz z nim Leszek Bednarz – nasz kolega z poprzednich flisów. Przywożą budy flisackie, skrzynie, deski i inne oprzyrządowanie

tratwy. Najbardziej cieszymy się z bud, albowiem nie mielibyśmy gdzie spać. Ustawiamy je tuż przy brzegu Sanu i przenosimy do nich swoje rzeczy. Rozpalamy ognisko, jemy kolację i planujemy pracę na jutrzejszy dzień. W poszczególnych budach śpią: Ryszard Była, Leszek Bednarz i Stanisław Zwolak, w następnej Marek Okoński i Mieczysław Łabęcki. W retmance – Wincenty i Mieczysław Pityńscy. Dzień był słoneczny i ciepły, ale noc zapowiada się burzliwie. I tak się stało. Całą noc nad Jarosławiem przewala się burza z błyskawicami, grzmotami i deszczem. Na szczęście nasze budy są szczelne i przynajmniej mamy sucho.

01.06.1999 (wtorek) – 2 dzień spływu

Wstajemy o godzinie 5⁰⁰. Pada drobna mżawka, która nie nastraja nas optymistycznie do pracy. Niemniej jednak trzeba działać, bo czas odpłynięcia z Jarosławia jest bliski. Zrzucamy pozostałe kłocę do wody. Pod kierunkiem naszego retmana – Witka Pityńskiego dokładamy je do poszczególnych tafli i tak oto nasza tratwa już pływa na wodzie. Wprawdzie nie ma na niej bud, skrzyń, drygawek i paleniska, ale to już jest tratwa. Przyjeżdża następny uczestnik wyprawy – Zdzisław Nikolas. Trwają intensywne prace. Wzmacniamy poszczególne tafle szorcami. Obcinamy wystające kłocę, aby tafle miały format prostokąta. Montujemy na colu palenisko, które będzie naszą kuchnią. Około godziny 15⁰⁰ Witek Pityński i Mieczysław Łabęcki, samochodem stacji telewizyjnej RTL7, która filmuje nasze prace, jadą do restauracji i przywożą na bindugę schabowe z ziemniakami i surówką w estetycznych styropianowych opakowaniach. Po krótkiej sjeście, bo upał jest wielki, kontynuujemy nasze prace. Zdarza się nam mała wpadka. Oto jedna z tafli ucieka nam i z prądem rzeki odpływa około 30 metrów, gdzie zostaje przechwycona. Zakładamy liny i z niemałym trudem ciągniemy ją w górę rzeki. Po dopięciu jej do całości dosadnym językiem, rozważamy dlaczego tak się stało.

Po skromnej kolacji składającej się z chleba, kiełbasy, konserw, spożytej przy ognisku, idziemy spać. O godzinie 2³⁰ budzi nas potężny klakson samochodowy. Okazuje się, że samochód Józka Gancarza przywiózł brakujące nam do wyposażenia tratwy drygawki i śryki. Wobec takiego faktu trzeba wyjść z ciepłych śpiworów i rozładować samochód. Na szczęście do rana nic już nam nie przeszkadza w spaniu.

02.06.1999 (środa) – 3 dzień spływu

Wstajemy około godziny 6⁰⁰ i krzątamy się koło naszej tratwy, która powoli staje się tratwą z prawdziwego zdarzenia. Na plac obok bindugi przyjeżdżają żołnierze z miejscowej jednostki, którzy budują estradę na jutrzejsze występy. Prosimy ich o pomoc. Żołnierze pomagają nam przenieść na tratwę budy flisackie, które do tej pory stały na łądzie. Dołącza do nas następny uczestnik flisu – Franciszek Kopyto. Przywozi ze sobą linki do mocowania skrzyń. Przystępujemy niezwłocznie do ich umocowania. Nawiercamy otwory w drygawkach i usadawiamy je na kurczach. Musimy dzisiaj wykonać wszystkie prace, albowiem jutro jest święto (Boże Ciało) i nic już nie zrobimy. Na bindudze pojawia się wice starosta jarosławski i na naszą prośbę umożliwia nam skorzystanie z przysznica stacji pogotowia ratunkowego. Przyjeżdżają następni uczestnicy flisu - honorowy obywatel miasta Ulanów, kapitan żeglugi wielkiej Czesław Frontczak, oraz zastępca przewodniczącego rady powiatu niżańskiego, mieszkaniec Rudnika – Ryszard Maj. Ryszard Maj przywozi na tratwę w prezencie konserwy mięsne i rybne, oraz dwa wypełnione po brzegi kociołki, które mają stanowić nasz jutrzejszy obiad. Coraz więcej mieszkańców Jarosławia odwiedza bindugę, zasypując nas pytaniami na temat flisu. Bardzo wielu, zwłaszcza starszych opowiada nam, że pamiętają czasy kiedy to po Sanie w Jarosławiu pływały tratwy. Dopinanie ostatnich szczegółów zajmuje nam czas do wieczora. Po kąpeli w stacji pogotowia ratunkowego idziemy spać. Dzisiaj pierwszy raz śpimy na tratwie.

03.06.1999 (czwartek) – 4 dzień spływu

Wstajemy niezbyt wcześnie. Dzisiaj jest Boże Ciało i przygotowujemy się do wyjścia do kościoła. Przyjeżdżają samochody z Ulanowa. Jest także Józef Gancarz, który popłynie z nami część trasy. Przebieramy się w tradycyjne stroje mieszczańskie i samochodami udajemy się do fary w Jarosławiu, gdzie odbędzie się ogólnomiejska msza święta, połączona z procesją. Msza odbywa się na wolnym powietrzu, albowiem panuje słoneczna, wręcz upalna pogoda. Zostajemy tam potraktowani w szczególnie sposób. Usadowieni zostajemy na podwyższeniu nad ołtarzem mając przed sobą rozległy plac im. ks. Piotra Skargi wypełniony wiernymi. Po mszy bierzemy udział w procesji po ulicach miasta niosąc baldachim. Upał staje się coraz większy. Pot spływa po nas, tym bardziej, że trasa procesji jest bardzo długa. Wiedzie między innymi

do cerkwi p.w. Przemienienia Pańskiego gdzie Pismo Św. czyta miejscowy pop w języku starocerkiewnym. Po skończeniu procesji, przez wice starostę powiatu jarosławskiego zostajemy zaproszeni na wystawny obiad do restauracji.

Około godziny 14⁰⁰ wracamy na tratwę. Na brzegu Sanu i moście zgromadziły się tysiące ludzi. Jest kilka zespołów regionalnych i kilka kapel ludowych. Są stoiska z posiłkami i napojami. Z Ulanowa przyjechał chór parafialny, aby pożegnać nas flisackimi piosenkami. Kiedy przygotowujemy się do wzięcia udziału w uroczystościach na naszą cześć, niebo gwałtownie się ściemnia. Zrywa się porywisty wiatr. Rozpoczyna się gwałtowna burza. Bardzo obfity deszcz zapędza ludzi pod most, bądź zmusza do odjazdu. Zamknięci w budach flisackich czekamy na zakończenie burzy. Zależy nam na szybkim odpłynięciu, bo wieczorem powinniśmy być w Sieniawie. Burza, jak na złość przeciąga się i ciągle pada deszcz. Na tafli stojącą pod mostem wchodzi ksiądz proboszcz jarosławskiej fary i w towarzystwie księdza Józefa Lizaka – proboszcza ulanowskiego – dokonuje poświęcenia tratwy. Dochodzi godzina 16⁰⁰. Retman Wincenty Pityński wydaje komendę odpłynięcia. Lina, którą tratwa była umocowana do brzegu zostaje odwiązana. Tratwa rusza spod jarosławskiego mostu żegnana okrzykami przez najwytrwalszych widzów. Nie wszyscy z załogi są w tym czasie na tratwie. Ryszard Maj bez wahania rzuca się i mocząc się do pasa wchodzi na tratwę. Ten heroiczny czyn spotyka się z głośnym aplauzem publiczności. Marek Okoński i Leszek Bednarz po zorientowaniu się, że tratwy już nie ma pod mostem, biegną brzegiem Sanu i głośno krzycząc wyrażają ochotę wejścia na tratwę. Niestety nie można tego zrobić w tym miejscu. Flisacy zamieniają się w biegaczy i pędzą za tratwą. Wreszcie retman wydaje komendę puszczenia śryków. Franek Kopyto i Staszek Zwolak, znajdujący się przy skrzyniach wykonują polecenie. W skrzyni Staszka Zwolaka śryk łamie się jak zapałka po zetknięciu z kamienistym dnem rzeki. Pomimo tego wypadku tratwa zostaje zatrzymana. Marek i Leszek wyraźnie zmęczeni przełajowym biegiem, zostają łódką przywiezieni na tratwę.

Do pierwszego etapu Jarosław – Sieniawa tratwa wyruszyła mając na pokładzie załogę w następującym składzie:

1. Wincenty Pityński – retman
2. Mieczysław Pityński
3. Zdzisław Nikolas
4. Marek Okoński
5. Ryszard Maj

6. Mieczysław Łabęcki
7. Franciszek Kopyto
8. Czesław Frontczak
9. Leszek Bednarz
10. Stanisław Zwolak
11. Andrzej Kumik

Deszcz ciągle pada. Jest tylko mniej lub bardziej intensywny. Sprawdzają się słowa księdza dziekana – proboszcza jarosławskiej fary, który dziękując nam za udział w procesji, wyraził nadzieję, że Bóg nas ochłodzi w dalszej trasie do Sandomierza. Woda z kurtek przeciwdeszczowych ścieka po spodniach do gumowych butów, tak, że będąc w butach stoimy w wodzie. W czasie poprzednich spływów w taką pogodę zwykle zatrzymywaliśmy tratwę i chroniliśmy się w budach. Tym razem harmonogram flisu jest bardzo napięty, a z Jarosławia wypłynęliśmy z prawie dwugodzinnym opóźnieniem. Zmusza nas to do płynięcia w deszczu. Na szczęście pływanka przebiega spokojnie. Koryto Sanu jest wolne od wysp i mielizn co pozwala nam płynąć prosto. Nurt rzeki jest szybszy niż w Ulanowie. Kamieniste dno świadczy, że San nie utracił jeszcze charakteru rzeki górskiej. Ponieważ zbliża się wieczór i wypadałoby zjeść ciepły posiłek, Ryszard Maj i Leszek Bednarz w strugach deszczu usiłują rozpaść ognisko. Usilne i długotrwałe próby koczają się niepowodzeniem. Wówczas do tego dzieła przystępuje Stanisław Zwolak i niedługo później ognisko pali się. Ryszard Maj stawia w palenisku sporządzone przez siebie kociołki. Ciągle płyniemy i ciągle pada deszcz. Zmrok przechodzi w ciemność. Płyniemy na pamięć, albowiem widoczność nie przekracza kilku metrów. Retman utrzymuje orientację tylko po wysokich sylwetkach drzew rosnących na brzegu. W ciemnościach zjadam pyszne udka kurczaków z kociołka Ryśka Maja. Dochodzi godzina 23⁰⁰. Rzekę oświetlają światła lamp-szperaczy. Okazuje się, że zbliżamy się do mostu w Sieniawie. Tutaj kończymy pierwszy etap naszego flisu. Najwytrwalsi z wytrwałych mieszkańców Sieniawy przekazują nam żywność, którą przygotowali na nasze przyjęcie. Niestety, występy i imprezy, które były dla nas przygotowane przeszły nam koło nosa. Zmęczeni i przemoczeni idziemy sapać.

04.06.1999 (piątek) – 5 dzień spływu

Wstajemy skoro tylko się rozwidnia. Po odpięciu liny, o godzinie 4¹⁰ wypływamy do drugiego etapu Sieniawa- Krzeszów, o długości 37 kilometrów. Dzień zapowiada się ładny. Po wczorajszym deszczu, ani śladu. Z nadbrzeżnych drzew dobiega nieustający ptasi koncert. Słońce zaczyna wznosić się czerwonym kręgiem. Odśpiewujemy pieśń „Kiedy ranne wstają zorze”. Drygawka na colu, którą w tym czasie pracuje Franek Kopyto, pęka po kilku ruchach, tuż przy kurczu. Sytuacja staje się poważna, bo tratwa bez drygawki traci sterowność. Ponieważ nie mamy zapasowej, Franek Kopyto i Marek Okoński szybko naprawiają uszkodzoną. Staszek Zwolak rozpala ognisko i w niedługim czasie spożywamy pyszny barszcz flisacki produkcji Franka Kopyty. Zjadamy go nie zatrzymując tratwy, bo czas nagli.

Pogoda przechodzi w upalną. Załoga gremialnie się opala, rekompensując sobie wczorajsze chłody. Tratwa płynie bardzo dobrze. Kierowana wprawną ręką Witka Pityńskiego nie wymaga prawie żadnej pracy ze strony załogi. Koryto Sanu w dalszym ciągu wąskie, bez przeszkód. Mijamy ujście Wisłoka po lewej stronie. Ludzie pracujący na brzegach pozdrawiają nas, życząc nam udanego flisu. Rysiek Maj przekazuje pozdrowienia dla swojego ojca, albowiem pochodzi z tych stron. Zatrzymujemy się przed mostem w Rzuchowie. Część załogi wychodzi na ląd, aby uzupełnić prowiant. Witek Pityński odwiedza gospodarzy u których mieszkał, budując znajdujący się tu most. Na moście gromadzi się młodzież szkolna, która na wieść że zatrzymała się tratwa - przyszła ją obejrzeć. W upalnej pogodzie płyniemy dalej. Pływanka w dalszym ciągu przebiega bardzo dobrze. Zbliżamy się do Leżajska. Tutaj mamy zaplanowany pierwszy postój.

Z daleka widać wielu ludzi zgromadzonych na lewym brzegu i na moście. Zatrzymujemy tratwę i łódką podpływamy do brzegu. Witają nas posłowie ziemi leżajskiej, władze powiatu i miasta. Wita nas także ojciec przełożony klasztoru w Leżajsku. Wspólnie zasiadamy do syto zastawionych stołów. Na stołach znajdują się: piwo, grochówka, lody i napoje. Poczęstunek umilają swoją grą kapele ludowe. Nasi gospodarze bardzo interesują się flisem, chcą jak najwięcej wiedzieć o jego przygotowaniu i przebiegu. Miło się rozmawia, ale czas nagli. Na pożegnanie dostajemy w prezencie beczkę piwa dla nas, dwie duże puszki piwa dla papieża i wielką ilość napojów w kartonach. Są to prezenty od browaru w Leżajsku i zakładu „Hortex”. Każdy z nas otrzymuje foldery miasta i pamiątkowe medale. Żegnamy gościnną ziemię leżajską i zabierając na pokład ojca przełożonego klasztoru, odpływamy pożegnani owacyjnie

przez zgromadzone społeczeństwo. Ojciec przełożony, po udzieleniu nam błogosławieństwa na tratwie zostaje odwieziony łódką do brzegu.

Pogoda staje się coraz bardziej upalna. Dobrze, że nie trzeba pracować przy utrzymaniu tratwy na prawidłowym kursie. Zjadamy drugi z kociołków Ryśka Maja. W błogim nastroju i znakomitych humorach oglądamy położone w oddali piękne wzgórza, na których położony jest Krzeszów – cel dzisiejszego etapu. I oto ukazuje się most, za którym zatrzymujemy naszą tratwę. Podpływamy łódką do brzegu. Zostajemy powitani przez wójta i władze gminy Krzeszów, oraz władze sąsiedniej gminy Rudnik. Zaproszeni na ognisko pod mostem zjadamy kiełbasę z rożna i przepijamy ją piwem. Przyśpiewuje nam chór domu kultury i schola z księdzem miejscowej parafii. Rewanżujemy się odśpiewując wiązanekę pieśni flisackich. Żegnamy miłych gospodarzy i dziękując za przyjęcie wracamy na tratwę.

05.06.1999 (sobota) – 6 dzień spływu

Pomimo, że wypłynięcie mamy zaplanowane na godzinę 7⁰⁰, załoga wstaje bardzo wcześnie nie mogąc leżeć w budach z powodu gorąca, much i komarów. Po odśpiewaniu „Kiedy ranne...” Franek Kopyto, Marek Okoński, Leszek Bednarz i Staszek Zwolak płyną łódką do brzegu i udają się na zakupy. Po ich powrocie w niedługim czasie spożywamy tradycyjny, flisacki barszcz. Jeszcze bierzemy na pokład zastępcę burmistrza Rudnika i już wypływamy do Ulanowa. Pogoda wręcz wymarzona do pływanki. Jest cicho bezwietrznie, świeci słońce. Słuchając pięknego ptasiego koncertu płyniemy spokojnie, podziwiając położone na prawym brzegu, piękne strome wzgórza. W płynięciu towarzyszy nam łódka strugo wodna z ośrodków WOPR w Stalowej Woli, którą wczoraj przyплыnęli do nas synowie Marka Okońskiego – Janusz i Bartek. Drogę do Ulanowa do Krzeszowa pokonali w 25 minut. Nam zejdzie chyba trochę dłużej, pomimo, że płyniemy z prądem. I oto przed nami wyniosłe wzgórze z krzyżem upamiętniającym pobyt w tym miejscu św. Wojciecha. To już Bieliny, jesteśmy coraz bliżej Ulanowa. Na lewym brzegu zauważamy zgromadzonych wiele osób. Okazuje się, że to mieszkańcy Rudnika przyszli powitać Flis Papieski. Wobec powyższego zatrzymujemy tratwę i wychodzimy na brzeg, gdzie zostajemy bardzo serdecznie powitani przez burmistrza Rudnika, zarząd miasta, młodzież szkoły podstawowej i mieszkańców miasta. Po wysłuchaniu okolicznościowych przemówień i wierszy, oglądamy inscenizację odegraną przez młodzież szkoły podstawowej, która przygotowuje

się do przyjęcia imienia Jana Pawła II. Z inscenizacji tej wynika, że rudnicka młodzież przestanie bawić się w piratów i przekształci się we flisaków, aby móc pływać po polskich rzekach. Życząc im spełnienia tych marzeń odśpiewujemy kilka pieśni flisackich i zasiadamy do przygotowanych stołów, na których znajdują się napoje, piwo, kiełbasa z różną i ciastka. Jeszcze przyjmujemy na pokład tratwy wiklinowy fotel – dar miasta Rudnika dla papieża i odpływamy do Ulanowa.

Po przepłynięciu około kilometra przydarza się nam pierwsza kolizja w tym flisie. Przedcołe i przedgłowie tratwy (dwie środkowe tafle) wpadają na mieliznę. Wykorzystując to zdarzenie do ochłodzenia się, załoga ochoczo wskakuje do wody i drągami spycha obie tafle na głębszą wodę. Spinamy kanaty i po około 20 minutach płyniemy dalej. Poznajemy znajome widoki, albowiem jesteśmy coraz bliżej Ulanowa, którego wysokie budynki już widać. Zgodnie z wiatrówką przepływamy na prawy brzeg i szerokim łukiem podpływamy przed most, na którym oczekuje nas wielu mieszkańców miasta.

O godzinie 12³⁰ zatrzymujemy tratwę poniżej oczyszczalni ścieków i wychodzimy na ląd. Na stadionie trwa wiele imprez w ramach obchodzonych w mieście Dni Flisactwa. Stanisław Zwolak poproszony o przewodniczenie jury konkursu na najładniejszy model tratwy ogłasza werdykt. Wygrywa Bartek Okoński przed Tomkiem Tybusiem i Mariuszem Kopyto. Cała załoga udaje się do domów, aby zobaczyć się z bliskimi i odpocząć. Spotykamy się ponownie na stadionie sportowym o godzinie 19⁰⁰, gdzie słuchając chóru i kapeli spożywamy wraz z kolegami i znajomymi, ofiarowaną nam przez browar w Leżajsku beczkę piwa. Mamy także okazję obejrzeć piękne widowisko na wodzie. Oto Sanem płynie galar i towarzyszące mu łódki. Zapalone pochodnie trzymane przez pasażerów pięknie odbijają się w wodach rzeki tworząc niesamowitą scenię.

06.06.1999 (niedziela) – 7 dzień spływu

Cała załoga zbiera się o godzinie 10⁰⁰ przed kościołem parafialnym w Ulanowie, gdzie następnie bierze udział w uroczystej mszy świętej. Następnie w towarzystwie bardzo licznie zgromadzonej publiczności przechodzimy nad San niosąc tron papieski – prezent Bractwa Miłośników Ziemi Ulanowskiej dla papieża Jana Pawła II. Tron ten jest wykonany z czarnego dębu. Autorem tego dzieła jest Jan Maciej Łyko z Rudnika, natomiast surowiec, czyli czarny dąb ofiarował Wincenty Pityński. Fundatorem tronu papieskiego jest Józef Gancarz. Załoga ustawia tron na specjalnym postumencie, usytuowanym na głowie tratwy. Z mostu i brzegu Sanu tratwie i tronowi przyglądają się licznie zgromadzeni mieszkańcy

miasta i okolic. Na szczęście jest piękna, słoneczna pogoda. Na tratwę wchodzi następny flisak – Józef Gancarz, który popłynie z nami do Niska. Pada komenda retmana o wybiciu śryków. Tratwa powoli rusza, żegnana owacyjnie przez widzów. Rozlega się potężny wystrzał z beczki. Tratwie towarzyszy flotylla różnego rodzaju łódek. Płynie także galara prowadzony przez Bronisława i Adama Pityńskich – braci naszego retmana. Na pokładzie galara płyną zaproszeni goście. Stan wody Sanu jest nieco wyższy od normalnego. Płyniemy bardzo spokojnie, bez przeszkód. Z brzegów pozdrawiają nas mieszkańcy miejscowości leżących nad Sanem. Ponieważ zacumowanie tratwy obok mostu w Zarzeczcu jest planowane o godzinie 16^{oo}, zmuszeni jesteśmy zatrzymać tratwę, aby dostosować się do przyjętego harmonogramu.

Dochodzi godzina 16^{oo} i tratwa zatrzymuje się tuż za mostem, przy lewym brzegu witana owacyjnie przez zgromadzonych mieszkańców Niska i okolic. Wychodzących na brzeg flisaków witają marszałkowie województwa podkarpackiego – Bogdan Rzońca i Wiktor Stasiak, starosta nizański – Mirosław Waniewski i pani senator Janina Sagatowska. Zostajemy usadowieni w pierwszym rzędzie przed estradą. Tańczy zespół taneczny „Raclawice”. Występują chóry i kapele. Panuje wielki upał. Tysiące ludzi zgromadzonych na brzegu Sanu nie ma żadnych możliwości zakupu napojów. Organizatorzy pojechali do Niska na imprezę we własnym gronie, zostawiając nas i zgromadzony tłum samym sobie. Przypomną sobie przed najbliższymi wyborami. Jedynie pani senator Janina Sagatowska wiernie została z nami oglądając popisy poszczególnych wykonawców. Zostajemy zaproszeni na estradę, gdzie każdy z nas przedstawia się publiczności. Z powodu upału i pragnienia ludzie rozchodzą się. Część załogi tratwy udaje się do swoich domów, albowiem dzień jutrzejszy tj. 7 czerwca 1999 jest dniem odpoczynku i tratwa nie płynie.

08.06.1999 (poniedziałek) – 8 dzień spływu

Poszczególni członkowie załogi przybywają ze swoich domów. Załoga powoli się kompletuje. Na tratwę przybywają kolejni flisacy: Roman Chmielowski z Ulanowa i ks. Wilhelm Gaj-Piotrowski. Wraz z Ryśkiem Majem przyjeżdża Janusz Sordyl przywożąc bigos i konserwy mięsne. Od wyjątkowo gościnnych brzegów nizańskich odbijamy o godzinie 11^{oo}. Jest ładna, słoneczna pogoda. Płyniemy bez trudności pod wprawnym okiem naszego retmana. Dopływamy do Stalowej Woli ze znacznym wyprzedzeniem harmonogramu. Zatrzymujemy tratwę obok elektrowni. Do tratwy dopływa łódka.

Znajduje się w niej prezydent Stalowej Woli – Alfred Rzegocki. Korzystając z przerwy dokonujemy obrzędu chrztu flisackiego. Chrztowni poddawani są: ks. Wilhelm Gaj-Piotrowski, Roman Chmielowski i Ryszard Maj. Chrztu dokonuje retman Wincenty Pityński polewając neofitów wodą z Sanu. Zdzisław Nikolas uczy ich pacierza flisackiego, uderzając ich piórem wiosła w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, aby szybciej się uczyli. Ulgowo na chrzcie potraktowany został jedynie ks. dr Gaj-Piotrowski, a to dlatego, że dobrowolnie zgodził się zostać kapelanem flisaków. Romanowi Chmielowskiemu cały kocioł wody na głowę wylał Staszek Zwolak, natomiast Rysiek Maj swój chrzest zakończył efektownym skokiem do wody. Ponieważ mamy jeszcze trochę czasu wypijamy po kieliszków chrzcinówki.

Wokół tratwy krąży coraz więcej łódek motorowych. To witają nas załogi WOPR-u i stalowowolskiej policji rzecznej. Powoli zbliża się godzina 17⁰⁰. Wobec tego odsrykowujemy tratwę i podpływamy do mostu, z którego witają nas licznie zgromadzeni mieszkańcy miasta. Zatrzymujemy tratwę około 300 metrów za mostem, przy lewym brzegu. Tutaj czekają na nas przedstawiciele władz powiatu i miasta, oraz sporo publiczności. Przed wyjściem na brzeg dokonujemy jeszcze obrzędu chrztu flisackiego prezydenta miasta Alfreda Rzegockiego. Zdzisław Nikolas nie szczędzi razów prezydentowi, albowiem znają się jeszcze ze służby wojskowej, którą razem odbywali. Wszystko to odbywa się pod obstrzałem licznych kamer i aparatów fotograficznych. Załoga tratwy po przebraniu się w historyczne stroje mieszczkańskie wychodzi na brzeg, gdzie zostaje oficjalnie powitana przez gospodarzy terenu i panią senator Janinę Sagatowską. Od władz miasta flisacy odbierają kopię konkatedry w Stalowej Woli wykonaną z piaskowca, jako dar dla papieża. Zostajemy zaproszeni do stołu, przy którym toczą się opowieści o flisaczym życiu, przeplatane flisackimi piosenkami. Z przygotowanego poczęstunku korzystają nie tylko flisacy, ale także licznie zgromadzeni mieszkańcy miasta mając do dyspozycji bigos, kiełbasę i napoje. Należy podkreślić szczerze i gościnne przyjęcie załogi tratwy w Stalowej Woli, co jest szczególnie widoczne po zupełnym lekceważeniu nas przez władze powiatu niżańskiego. Obdarowani sporą ilością bigosu, żegnamy gościnnych gospodarzy i wracamy na tratwę, aby odpocząć przed jutrzejszym etapem do Radomyśla.

09.06.1999 (wtorek) – 9 dzień spływu

Ponieważ dzisiejszy odcinek liczy 19 kilometrów wypływamy dosyć późno, bo o godzinie 9⁰⁰. Wypływamy, to nie znaczy, że wstajemy, bo większość załogi wstaje około godziny 4⁰⁰-5⁰⁰, nie mogąc wyleżeć w budach z powodu gorąca i komarów. Rozpala się ognisko, robi przygotowania do śniadania i wykonuje się różne prace porządkowe. Pogoda nam dopisuje, jest wprost wymarzona do pływanki. Płyniemy sobie spokojnie, bez większego wysiłku. Za mostem w Brandwicy spotykamy holownik i barkę z koparką. Wydobywa się tutaj piasek z dna Sanu. Są to, nie licząc problemów, pierwsze jednostki pływające spotkane przez nas na tym flisie. Rzeka silnie meandruje, przerzuca nurt z jednego brzegu na drugi, wyrzuca liczne wyspy i mielizny, ale dobrze zbudowana tratwa jest bardzo posłuszna i bez kłopotu pozwala nam przebyć ten trudny odcinek. Zjadamy bigos podarowany nam ze Stalowej Woli i w świetnych humorach powoli zbliżamy się do mety dzisiejszego etapu.

Około godziny 16⁰⁰ pojawił się przed nami most. Drogowy most w tym miejscu może oznaczać tylko jedno – Radomyśl. Zatrzymujemy tratwę przed mostem, w odległości kilku metrów od prawego brzegu. Na brzegu daje się zauważyć zgromadzone drewno na ognisko i rozstawione wokół ławki. Załoga generalnie udaje się do miasta, gdzie po upalnym dniu gasi pragnienie chłodnym piwem, po czym wraca na tratwę. Zbliżyła się godzina 19⁰⁰. Na brzegu gromadzą się mieszkańcy miasta. Po rozpaleniu ognisk, załogę tratwy wita przewodniczący rady gminy i proboszcz miejscowej parafii. Ksiądz proboszcz opowiada historię o zbudowaniu pierwszego kościoła w Radomyślu przez kupca, który spławiając drewno Sanem napotkał wielką burzę i ofiarował Matce Boskiej kościół za uratowanie życia. Poczęstowani przez gospodarzy kiełbasą upieczoną na ognisku i napojami przysłuchujemy się piosenkom wykonanym przez zespół śpiewaczy „Malwa” z Turbi. Rewanżujemy się piosenkami flisackimi. Ksiądz proboszcz wręcza nam upominki związane z Sanktuarium Matki Boskiej w Radomyślu. Miła atmosfera i gościnność gospodarzy sprawia, że długo w noc siedzimy na brzegu dzieląc się wrażeniami z flisu i nie tylko.

10.06.1999 (środa) - 10 dzień spływu

Ryszard Maj i Stanisław Zwolak o godzinie 6⁰⁰ udają się do Radomyśla, gdzie dokonują zakupów i wraz z zapasem wody spożywczej przywożą to wszystko na tratwę samochodem z posterunku energetycznego. Załoga krząta się po tratwie. Jest piękny, słoneczny dzień. Gościnny Radomyśl opuszczamy około 8⁰⁰, kierując się do ujścia Sanu, które to jest celem dzisiejszego etapu. Płyniemy spokojnie, wkładając niewiele wysiłku w prowadzenie tratwy. W miejscowości Czekań, przy przeprawie promowej naszą tratwę wita liczna grupa dzieci z pobliskiej szkoły podstawowej. Zatrzymujemy się, aby dać im możliwość dokładnego obejrzenia tratwy. Patrząc w dół Sanu widać wysokie wzgórza. Leżą one na lewym brzegu Wisły. Tablice kilometrażowe wskazują coraz niższe cyfry. I oto przed nami Wisła – królowa polskich rzek. Znacznie szersza od Sanu, płynie wolniej, bardziej majestatycznie. Zatrzymujemy tratwę u samego ujścia Sanu. Mamy tym sposobem dobry widok na dół i górę Wisły. Tutaj miał na nas oczekiwać holownik. Sandomierz, leżący w odległości 11 kilometrów od ujścia Sanu jest nieosiągalny dla naszej tratwy bez holowania. Wisła okazuje się pusta – nie ma żadnego holownika. Załoga tratwy rozprasza się. Marek Okoński, Ryszard Bryła i Franek Kopyto idą do Dąbrówki Pniowskiej oddalonej o 4 kilometry gdzie dokonują zakupów. Staszek Zwolak udaje się do Wrzaw (3 kilometry). Mieczysław Łabęcki i Ryszard Maj idą do Sandomierza. Pozostajemy u ujścia Sanu na noc, albowiem tu musimy czekać na holownik.

11.06.1999 (czwartek) - 11 dzień spływu

Załoga powoli się zbiera. Każdy wstaje kiedy chce, albowiem dziś nie płyniemy samodzielnie. Ryszard Maj i Mieczysław Łabęcki znów udają się do Sandomierza w celu sprowadzenia holownika. Reszta załogi wykorzystuje wolny na mycie i kąpanie się, albowiem dzień jest upalny. Około godziny 14⁰⁰ otrzymujemy hiobową wiadomość. Holownik nie przyjedzie po nas bo jest za mała woda. Wszystkich ogarnia przygnębienie. Retman Wincenty Pityński nie może w to uwierzyć, żeby w Wiśle nie było 1 metra głębokości wody, bo tyle wynosi zanurzenie holownika. Wobec powyższego bierze łódkę i z Frankiem Kopyto płyną w górę Wisły około 6 kilometrów. Wszyscy na tratwie wypatrują, czy nie płynie z góry holownik. Jeżeli nie zostaniemy podciągnięci do Sandomierza, czeka nas około 8 kilometrowy nocny marsz po wertepach i nieznanym

terenie. Wreszcie około godziny 17⁰⁰ pojawia się holownik. Retman znalazł wodę wystarczającą do jego przepłynięcia. W kilkanaście minut później przypląwa drugi. Jeden z holowników zaczepia linę do głowy tratwy i wyciąga nas na Wisłę. Gwałtowny skręt który robi powoduje wyłamanie szorców na przedgłowie, ale najważniejsze, że płyniemy. Ponieważ jeden holownik nie może sobie dać rady z holowaniem tratwy, dopina się do niego drugi i teraz już bez problemów płyniemy powoli w górę Wisły.

Przepląwamy pod mostem kolejowym w Sandomierzu. W oddali widać już wysmukłą wieżę katedry i domy na skarpie. Wreszcie około godziny 21⁰⁰ cumujemy tratwę tuż poniżej mostu pontonowego. Na tratwę wchodzi ekipa TVN, a Marek Okoński, Rysiek Bryła i Staszek Zwolak schodzą z tratwy i udają się do miasta na zakupy. Dokonują tam zakupów żywności, oglądając równocześnie miejsce jutrzejszej celebry. W poszczególnych sektorach jest już wiele ludzi, którzy śpią na ziemi oczekując jutrzejszego przybycia papieża.

12.06.1999 (piątek) – 12 dzień spływu

Załoga wstaje około 4⁰⁰ i przygotowuje się na plac przed skarpią, gdzie o godzinie 10³⁰ rozpocznie się msza święta odprawiana przez papieża Jana Pawła II. Jako pierwsi, na plac celebry udają się: Marek Okoński, Ryszard Bryła, Franciszek Kopyto i Stanisław Zwolak. Pół godziny po nich wychodzą: Zdzisław Nikolas, Mieczysław Pityński, Wincenty Pityński, Mieczysław Łabęcki i Ryszard Maj. Pomimo wczesnej pory panuje już wysoka temperatura. Na niebie nie ma żadnej chmurki i nie ma też zupełnie wiatru. Zapowiada się gorący dzień. W sektorze F3, w którym mamy miejsca – jest bardzo wiele osób, także trudno się precyzować. Sytuację pogarsza fakt, że wielu wiernych jeszcze śpi na ziemi zajmując wiele powierzchni. Sektor F3 usytuowany jest po prawej stronie ołtarza, przed budynkiem mleczarni. W sektorze spotykamy wielu znajomych, którzy przybyli tu przed nami. Są to: dr Elżbieta Marszałek i kapitan Włodzimierz Grycner ze Szczecina, Zenon Dąbek, Mieczysław Cudziło z żoną i Barbara Pityńska z córką Katarzyną. Dzięki zapobiegliwości Marka Okońskiego przesuwamy się nieco w sektorze, znajdując bardzo przyzwoite miejsce, tu obok podium dla chórów. Miejsce to umożliwia nam schronienie się w cieniu i pozwala usiąść na kratownicy podium. Upał staje się coraz większy. Ludzie zapełniają wszystkie sektory i przejścia między nimi. Organizatorzy przestają panować nad tłumem, który zapełnia wszystkie wolne miejsca. Wreszcie około godziny 10⁰⁰ ponad półmilionową rzeszą przelatuje pomruk „jedzie”. Wyznaczoną trasą pomiędzy sektorami jedzie „papa mobile” wioząc Wielkiego Rodaka pozdrawiającego witające go tłumy.

O godzinie 10³⁰ rozpoczyna się msza święta odprawiana przez papieża Jana Pawła II.

W trakcie mszy wymieniani są ofiarodawcy prezentów dla Ojca Świętego. I tu spotyka nas gorzkie rozczarowanie. Nikt nie wymienił naszego prezentu – tronu z czarnego dębu, ani nas jako pielgrzymów płynących tratwą dwa tygodnie na spotkanie z papieżem. Msza święta kończy się o godzinie 13³⁰. Tłumy ludzi ruszają w kierunku swoich miejscowości. Załoga powoli zbiera się na tratwie. Panuje ogólne przygnębienie z powodu braku wzmianki o nas i naszym tronie. Okazuje się, że nikt nie poinformował biura prasowego wizyty papieskiej w Sandomierzu o fakcie ofiarowania tronu i przepłynięcia tratwy. W minorowych nastrojach wypychamy tratwę na Wisłę i odpływamy z Sandomierza o godzinie 15³⁰. Po przepłynięciu około 2 kilometrów nad tratwą przechodzi potężna burza z piorunami, połączona z bardzo obfitym deszczem. Załoga chroni się w budach, a tratwa swobodnie spływa na dół rzeki. Na szczęście burza szybko przechodzi i możemy sterować tratwą, bo przed nami most kolejowy, pod którym przepływamy bez przeszkód. Pogoda z powrotem jest wspaniała, świeci słońce i nie ma wiatru. Mijamy ujście Sanu, skąd niedawno odpłynęliśmy w górę Wisły. Po lewej stronie ukazują się potężne wzgórza z wyniosłymi budynkami klasztoru i kościoła. To Zawichost – meta dzisiejszego etapu i całego flisu. Retman Wincenty Pityński wiedząc z poprzednich flisów, że zacumowanie tratwy w Zawichoście jest bardzo trudne, płynie łódką w dół rzeki w celu wybrania najodpowiedniejszego miejsca. Pozostała załoga spływa tratwą trzymając się w pobliżu lewego brzegu. Jeszcze tylko zmagania z nurtem rzeki i o godzinie 21³⁰ cumujemy tratwę w zatoce między główkami, tuż przed promem. Cała załoga wychodzi na ląd i udaje się do restauracji „Adba”, gdzie konsumuje flaki i piwo. Przychodzi do nas burmistrz miasta i gminy Zawichost, p. Tadeusz Malara witając nas i wyrażając swoje uznanie, że dopłynęliśmy do końca zgodnie z założonym harmonogramem. Na część burmistrza wypijamy jeszcze po piwie i wracamy na tratwę.

13.06.1999 (sobota) – 13 dzień spływu

O godzinie 8⁰⁰ załoga tratwy udaje się do restauracji „Adba”, gdzie spożywa śniadanie ufundowane przez burmistrza Zawichostu. Następnie wracamy w pobliże trawy, gdzie o godzinie 10⁰⁰ zostajemy oficjalnie powitani przez burmistrza Zawichostu, starostę sandomierskiego i pozostałe władze miasta i powiatu. Powitanie uświetnia kapela i chór śpiewaczy. Po serii pamiątkowych zdjęć wszyscy – przy dźwiękach kapeli – idziemy do klasztoru w Zawichoście, gdzie uczestniczymy we mszy dziękczynnej

za szczęśliwy flis. Klasztor zbudowany został w 1242 roku z fundacji Bolesława Wstydliwego dla zakonu klarysek. Stał się on schronieniem dla Salomei – córki księcia małopolskiego Leszka Białego. Salomea po śmierci swego męża Kolomana, księcia węgierskiego, który zginął w bitwie pod Tatarami w 1241 roku pod Sayo postanowiła poświęcić się życiu zakonnemu. Po latach została beatyfikowana, a w 1981 roku jej relikwie zostały sprowadzone do Zawichostu, który obrał ją sobie za patronkę. Po wyjściu z klasztoru przechodzimy przez miasto udając się do zespołu szkół. Przyglądają się nam zaciekawieni mieszkańcy, albowiem cały czas towarzyszy nam przygrywająca kapela. W szkole zjadamy obiad składający się z zupy pomidorowej, schabowego z bukietem jarzyn i domowego wypieku - świetnych pączków. Wielkim powodzeniem cieszą się znakomicie schłodzone soki i napoje, bo pogoda jest wręcz upalna. W czasie obiadu każdy z nas przedstawia się naszym gospodarzom opowiadając o swoich związkach z flisem. Następnie samochodami przejeżdżamy do pałacu w Czyżowie Szlacheckim gdzie gospodarze miasta i gminy Zawichost przygotowali pożegnalne ognisko. Zwiedzamy piękny pałac – dawną posiadłość Targowskich, będący aktualnie w remoncie, bo trwa jego adaptacja na hotel. Przy pieczonej kiełbasie i piwie toczą się opowieści o flisaczym życiu. Pomimo wcześniejszych uzgodnień na pożegnalne ognisko nie przybyli vice marszałek województwa podkarpackiego Wiktor Stasiak i pani senator Janina Sagatowska. Ich brak rekompensuje niespodziewana wizyta posła Jerzego Jaskierni. Czas nieubłaganie biegnie. Zmuszeni jesteśmy pożegnać wspaniałych, bardzo gościnnych gospodarzy i samochodami wracamy na tratwę.

14.06.1999 (niedziela) – 14 dzień spływu

Dzisiejszy dzień jest przeznaczony na demontaż tratwy, która zostanie sprzedana. Sytuację komplikuje fakt, że ewentualny kupiec, który wstępnie wyraził chęć jej nabycia musiał nagle wyjechać do Krakowa. Wobec powyższego trwają poszukiwania nabywcy, w czym wydatnie pomaga nam vice burmistrz Zawichostu. W międzyczasie sprzedajemy budy flisackie i postument na którym stał tron papieski. Nabywa je właściciel pałacu w Czyżowie, twierdząc, że będzie to dodatkową atrakcją dla przebywających w hotelu gości. Przekręcamy tratwę o 180°, aby umożliwić jej załadunek na samochód samozaładowczy do przewozu dłużycy. Poszukiwania kupca kończą się sukcesem. Przyjeżdża właściciel tartaku w Annopolu i po krótkich oględzinach zgadza się na proponowaną przez nas kwotę. O godzinie 14⁰⁰ przyjeżdża samochód ciężarowy firmy Tadka Nowaka „Nowex”.

Ładujemy na niego pozostały dobytek, który zostanie zabrany do Ulanowa. Odwiedza nas także Rysiek Maj, który wczoraj odjechał do domu. O godzinie 17⁰⁰ przyjeżdża nad Wisłę Tadek Nowak. Wsiadamy do jego mikrobusu i żegnamy bardzo gościnnie i życzliwy ulanowskim flisakom Zawichost. Poprzez Dwikozy, Sandomierz, Stalową Wolę i Nisko przyjeżdżamy do Ulanowa o godzinie 19⁰⁰. W potokach deszczu rozładowujemy ciężarówkę i kolejno wysiadamy obok naszych domów. Flis papieski '99 na trasie Jarosław – Ulanów – Sandomierz – Zawichost został zakończony.

Załoga tratwy, która przepłynęła trasę Jarosław – Zawichost w całości lub częściowo:

1. Wincenty Pityński
2. Mieczysław Pityński
3. Zdzisław Nikolas
4. Marek Okoński
5. Franciszek Kopyto
6. Mieczysław Łabęcki
7. Ryszard Bryła
8. Stanisław Zwolak
9. Ryszard Maj
10. Czesław Frontczak
11. Andrzej Pityński
12. Leszek Bednarz
13. Zenon Dąbek
14. Józef Gancarz
15. ks. dr. Wilhelm Gaj-Piotrowski
16. Roman Chmielowski
17. Łukasz Czarnota